

MATERIAŁY

ŚWIETLICOWE

6

Z KSIĘGOZBIORU
EDWARDA WROCKIEGO
I MARII EDOŁCZYC
RUDNICKEJ WROCKIEJ

CENA 75 ZŁ

WARSZAWA

CZERWIEC 1949 R.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „WSPÓLPRACA”
Redaguje Redaktor Wydawnictw Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej
Adres Redakcji: Warszawa, Kredytowa 5/7, telefon 8-53-89
Administracja: Kredytowa 5/7. Konto P. K. O. 1-8214
Redakcja i Administracja czynna codziennie od 11 do 13

ODNAWIAJCIE I ZAMAWIAJCIE PRENUMERATĘ

DZIENNIKÓW I CZASOPISM **Z S R R**

NA DRUGIE PÓŁROCZE

WEDŁUG NIŻEJ PODANEJ NUMERACJI KATALOGOWEJ

Nr katalo- gowy	Nazwa wydawnictwa	Prenumerata			Nr katalo- gowy	Nazwa wydawnictwa	Prenumerata		
		Rocz- na	Pół- roczna	Kwar- talna			Rocz- na	Pół- roczna	Kwar- talna
	DZIENNIKI W JĘZYKU ROSYJSKIM	z ł o t e					z ł o t e		
1	Wiedomosti Wierchnonogo So- wjeta SSSR.	283	145	75	43	Sobranie postanowlenij i raspo- riażenij Prawitelstwa RSFSR.	76	40	20
2	Gudok, 156 n-rów	442	225	115	44	Sowietskaja żeńszczyzna, 6 n-rów	566	265	—
3	Izwestia Sowietow Deputatow trudiaszczycchia SSSR, 300 n-rów	1.132	570	285	45	Sowietskoje gosudarstwo i prawo, 12 n-rów	1.019	510	255
4	Komsomolskaja Prawda, 300 n-rów	1.132	570	285	2. Geografia i Geologia				
5	Sowietskij sport, 104 n-ry	396	200	100	47	Gornyj żurnal, 12 n-rów	680	340	170
6	Literaturnaja gazieta, 104 n-ry	393	200	100	48	Izwestia Wsiesojuznogo geogra- ficzeskiego obszczestwa, 6 n-rów	595	300	—
7	Miedicinskij rabotnik, 52 n-ry	196	100	50	50	Tiorfianaja promyszenność, 12 n-rów	453	230	115
8	Pionierskaja Prawda, 104 n-ry	102	55	30	3. Przyroda. Matematyka. Fizyka. Chemia.				
9	Prawda, 360 n-rów	1.360	680	340	51	Astronomiczeskij żurnal, 6 n-rów	340	170	—
10	Promyszenność stroitielnych ma- teriałów, 52 n-ry	196	100	50	52	Biochemia, 6 n-rów	340	170	—
11	Riecznoj transport, 104 n-ry	295	150	75	53	Biulletien Moskowskogo obszczest- wa ispytatelej 2 wypuska: a) Odtiel biologičzeskij, 6 n-rów	566	285	—
12	Sowietskoje iskusstwo, 52 n-ry	221	115	60	55	Botaniczeskij żurnal, 6 n-rów	594	300	—
13	Sowchoznaja gazieta, 156 n-rów	442	225	115	56	Dokłady Akademii SSSR, 36 n-rów	3.396	1.700	850
14	Socjalisticeskoje ziemledielie, 300 n-rów	1.132	570	285	58	Żurnal obszczej chemii, 12 n-rów	1.698	850	425
15	Trud, 300 n-rów	1.132	570	285	59	Żurnal prikladnoj chemii, 12 n-rów	1.189	595	300
16	Uczytielskaja gazieta, 104 n-ry	396	200	100	60	Żurnal tiechniceskoj fiziki, 12 n-rów	1.359	680	340
17	Foto wystawka, 12 n-rów	2.830	1.415	710	61	Żurnal fiziceskoj chemii, 12 n-rów	1.359	680	340
	Kultura i żyżń, 36 n-rów	170	85	45	62	Żurnal eksperimentalnoj i tieo- retičzeskoj fiziki, 12 n-rów	1.019	510	255
	CZASOPISMA W JĘZYKU ROSYJSKIM				63	Zapiski Wsierossijskogo miniera- logiczeskiego obszczestwa, 4 n-ry	283	145	—
	1. Socjalno-ekonomiczne i społeczno-polityczne				64	Zoologiczeskij żurnal, 6 n-rów	509	255	—
20	Błoknot agitatora, 36 n-rów	85	45	25	65	Izwestia Akademii nauk SSSR Seria biologičzeskaja, 6 n-rów	680	340	—
21	Bolszewik, 24 n-ry	283	145	75	66	Seria geograficzeskaja i geofizic- zeskaja, 6 n-rów	509	255	—
22	Wiestnik Akademii nauk SSSR, 12 n-rów	906	455	230	67	Seria geologiczeskaja, 6 n-rów	849	425	—
23	Wnieszniaja torgowla, 12 n-rów	453	230	115	68	Seria istorii i filozofii, 6 n-rów	509	255	—
24	Woprosy istorii, 12 n-rów	680	340	170	69	Seria matematiczeskaja, 6 n-rów	509	255	—
25	Woprosy filozofii, 3 n-ry	566	—	—	70	Seria fiziceskaja, 6 n-rów	680	340	—
26	W pomoszcz fabriczno-zawodskim i miestnym komitetam, 24 n-ry	340	170	85	71	Izwestia Akademii nauk. Otdie- lenie chimiczeskich nauk, 6 n-rów	595	300	—
27	Żyżń ślepych (pieczatajetsia to- czecznyim szriftom dla ślepych), 12 n-rów	660	340	170	72	Izwestia Akademii nauk. Otdie- lenie techniceskich nauk, 12 n-rów	1.698	850	425
29	Za ekonomiju topliwa, 12 n-rów	966	455	230	73	Izwestia Akademii nauk, Otdie- lenie literatury i jazyka, 6 n-rów	509	255	—
31	Krestianka, 12 n-rów	92	50	25	74	Izwestia Akademii nauk. Otdie- lenie ekonomiki i prawa, 6 n-rów	425	215	—
32	Kulturno-proswietitielnaja rabo- ta, 12 n-rów	170	85	45	75	Matematiczeskij sbornik, 6 n-rów	849	425	—
33	Woprosy ekonomiki, 12 n-rów	566	285	145	76	Poczwowiedienie, 12 n-rów	680	340	170
34	Mołodoj bolszewik, 24 n-ry	566	285	145					
35	Mołodoj kolchożnik, 12 n-rów	340	170	85					
36	Nowoje wriemja, 52 n-ry	906	455	230					
38	Płanowoje choziajstwo, 6 n-rów	170	85	—					
39	Professionalnyje sojuzy, 12 n-rów	340	170	85					
40	Rabotnica, 12 n-rów	91	50	25					
41	Sławianie, 12 n-rów	227	115	60					
42	Sobranie postanowlenij i raspo- riażenij Prawitelstwa SSSR.	189	95	50					

Dalszy ciąg na str. 3 okładki

MATERIAŁY

ŚWIETLICOWE

CZERWIEC 1949 R.

MIESIĘCZNIK

NR 6 (18)

22 lipca

W piątą rocznicę PKWN

(Materiał do pogadank).

W dziejach narodu polskiego dzień 22 lipca jest dniem jednym z najdonioślejszych, dniem rozpoczynającym dzieło politycznego, państwowego, społecznego Odrodzenia Narodu.

Jeszcze trwała walka o wyzwolenie całych ziem polskich spod ucisku okupanta hitlerowskiego, a już: *) „Na Lubelszczyźnie i na Podlasiu, w znacznej części województwa warszawskiego, w powiatach położonych między Sanem a Wisłokiem, odradza się państwowość polska. Na wyzwolonym obszarze objął władzę **Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego**, powołany dekretem Krajowej Rady Narodowej. Jako najwyższy organ suwerenności państwowej narodu polskiego, stojący na gruncie prawomocnej Konstytucji z 17 marca r. 1921, Krajowa Rada Narodowa powzięła tę decyzję w historycznej chwili, kiedy ziemia polska stała się terenem działań wojennych i walka toczyła się już bezpośrednio o wyzwolenie naszej ojczyzny. Powstała w tej sytuacji niecierpiąca zwłoki konieczność utworzenia tymczasowego organu rządowego, który by w imieniu KRN pokierował walką narodu, zorganizował administrację publiczną na wyzwolonym obszarze, przeprowadził mobilizację do szeregów Wojska Polskiego i reprezentował Polskę na zewnątrz.

I oto prawowita władza zmartwychwstającej Rzeczypospolitej, **Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego**, organizuje administrację państwową w wyzwolonej części kraju. Biało-czerwony sztandar powiewa znowu nad wolnymi miastami Lubelszczyzny. Zmieciony został z powierzchni ziemi zaborczy aparat hitlerowskiego ucisku. Naród staje się gospodarzem na swej ojczyźnie. W wyzwolonych powiatach, miastach i wsiach powiatowe miejskie i gminne Rady Narodowe obejmują kierownictwo życia publicznego.

Służbę bezpieczeństwa objęła polska Milicja Obywatelska, podległa miejscowym Radom Narodowym, działająca w myśl instrukcji i zarządzeń kierownika resortu bezpieczeństwa publicznego PKWN.

Jednocześnie **Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego** dokonał w imieniu Rzeczypospolitej pierwszego aktu międzynarodowego, zawierając z rządem ZSRR porozumienie, które reguluje

*) „Nowe Widnokregi“ 1944 r.

wzajemne stosunki polskiej administracji państwowej z dowództwem Czerwonej Armii, operującej na ziemiach polskich. Zgodnie z całą dotychczasową polityką rządu radzieckiego i z jego oświadczeniem, porozumienie opiera się na zasadzie całkowitego uznania suwerenności Państwa Polskiego przez ZSRR, co znalazło wyraz w odnośnych jego artykułach, stwierdzających, że PKWN jako tymczasowy organ rządowy Rzeczypospolitej sprawuje w kraju całą władzę państwową i reprezentuje Polskę w stosunkach z dowództwem radzieckim“.

WYJĄTKI
Z MANIFESTU
Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego
DO NARODU POLSKIEGO

POLACY W KRAJU I NA EMIGRACJI!

POLACY W NIEWOLI NIEMIECKIEJ!

Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary.

Naród polski wita żołnierza Armii Ludowej, zjednoczonego z żołnierzem Armii Polskiej w ZSRR. Wspólny jest wróg, wspólna walka i wspólne sztandary.

Zjednoczeni ku chwale ojczyzny w jednym Wojsku Polskim pod wspólnym dowództwem wszyscy żołnierze polscy pójną obok zwycięskiej Czerwonej Armii do dalszych walk o wyzwolenie Kraju.

Pójną poprzez Polskę całą po pomstę nad Niemcami, aż polskie sztandary nie załopocą na ulicach stolicy butnego prusactwa, na ulicach Berlina.

* * *

Rodacy!

Sojusznicza Armia Czerwona swym bohaterstwem i ofiarnością zadała m'azdzące ciosy Niemcom hitlerowskim. Armia Czerwona jako armia wyzwolenicza wkroczyła do Polski.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wzywa ludność i wszystkie podległe mu władze do jak najściślejszego współdziałania z Czerwoną Armią i najwydatniejszej dla niej pomocy. Jak najwydatniejszy udział Polaków w wojnie zmniejszy cierpienia narodu i przyspieszy koniec wojny.

* * *

Rodacy!

W imieniu Krajowej Rady Narodowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego obejmuje władzę na wyzwolonych terenach Polski. Ani chwili na ziemi polskiej, uwolnionej od najazdu niemieckiego, nie może działać żadna inna administracja prócz polskiej. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego sprawuje władzę poprzez Wojewódzkie, Powiatowe, Miejskie i Gminne Rady Narodowe i przez upoważnionych swych przedstawicieli. Tam, gdzie Rady Narodowe nie istnieją, demokratyczne organizacje obowiązane są natychmiast powołać je do życia, włączając w ich skład cieszących się zaufaniem ludności Polaków-patriotów, niezależnie od ich poglądów politycznych.

* * *

Rodacy!

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystępuje do odbudowy państwowości polskiej, deklaruje uroczyście przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia. Demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji. Organizacje faszystowskie, jako antynarodowe, tępione będą z całą surowością prawa.

* * *

Rodacy!

Aby przyspieszyć odbudowę Kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej.

Rodacy!

Stoją przed nami gigantyczne zadania.

Będziemy je realizować dalej nieugięcie i zdecydowanie. Odrzucimy precz warcholów, agentów reakcji, którzy przez rozbijanie jedności narodowej, przez próby prowokowania walk między Polakami idą na rękę hitleryzmowi.

*

*

*

Zadania wyzwolenia Polski, odbudowy państwowości, doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, uzyskania dla Polski godnego miejsca w świecie, rozpoczęcia odbudowy zniszczonego kraju — oto nasze naczelne zadania.

Nie można tych zadań urzeczywistnić bez jedności narodowej. Wykuwaliśmy tę jedność w ciężkiej walce podziemnej. Powstanie KRN było wyrazem jej urzeczywistnienia się. Powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego jest dalszym krokiem na tej drodze.

DEKRET

KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ O OBJĘCIU ZWIERZCHNICTWA NAD ARMIA POLSKĄ W ZSRR I O SCALENIU ARMII LUDOWEJ I ARMII POLSKIEJ W ZSRR W JEDNOLITE WOJSKO POLSKIE.

Krajowa Rada Narodowa postanawia:

1. Objąć zwierzchnią władzę nad Armią Polską w ZSRR.
2. Zjednoczyć Armię Ludową z Armią Polską w ZSRR.
3. Zjednoczone Armie noszą nazwę Wojska Polskiego.
4. Powołać do życia Dowództwo Naczelne Wojska Polskiego, w skład którego wejdą: Naczelny Dowódca, dwaj jego zastępcy oraz dwaj członkowie Dowództwa.
5. Stopnie generalskie nadaje w Wojsku Polskim Prezydium Krajowej Rady Narodowej na wniosek Dowództwa Naczelnego. Prawo nadawania wszystkich innych stopni oficerskich Prezydium Krajowej Rady Narodowej przekazuje Dowództwu Naczelnemu.
6. Dekret niniejszy nie narusza operacyjnego podporządkowania Dowództwu Naczelnemu Armii Czerwonej formacyj Wojska Polskiego, działających na froncie radziecko-niemieckim.

OŚWIADCZENIE

Komisariatu Ludowego Spraw Zagranicznych ZSRR o stosunku Związku Radzieckiego do Polski.

Rząd Radziecki polecił Komisariatowi Ludowemu Spraw Zagranicznych ZSRR złożyć następujące oświadczenie:

Armia Czerwona, zwycięsko posuwając się naprzód, doszła do państwowej granicy między Związkiem Radzieckim a Polską. Ścigając cofające się wojska niemieckie, wojska radzieckie wspólnie z działającą na froncie radziecko-niemieckim Armią Polską przeszły Bug, przekroczyły granicę radziecko-polską i wkroczyły na terytorium Polski. W ten sposób zaczęło się wyzwolenie bratniego umęczonego narodu polskiego spod okupacji niemieckiej.

Wojska radzieckie weszły na terytorium Polski, ożywione jedną wolą — rozbić wraże armie niemieckie i pomóc narodowi polskiemu w dziele wyzwolenia spod jarzma najeźdźców niemieckich i odbudowy Polski niepodległej, silnej i demokratycznej.

Rząd Radziecki oświadcza, że uważa działania wojenne Armii Czerwonej na terytorium Polski za działania na terytorium państwa suwerennego, zaprzyjaźnionego, sojuszniczego. W związku z tym Rząd Radziecki nie ma zamiaru ustanawiać na terytorium Polski organów swojej administracji, uważając, że jest to sprawa narodu polskiego. Z tego powodu Rząd Radziecki postanowił zawrzeć z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego umowę o stosunkach między Dowództwem Radzieckim a administracją polską.

Rząd Radziecki oświadcza, że nie zamierza przyłączyć jakiegokolwiek części terytorium polskiego, ani zmienić ustroju społecznego w Polsce i że działania wojenne Armii Czerwonej na terytorium Polski są podyktowane jedynie koniecznością wojenną i chęcią udzielenia zaprzyjaźnionemu narodowi polskiemu pomocy w wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej.

Rząd Radziecki wyraża niezachwianą wiarę, że bratnie narody ZSRR i Polski wspólnie doprowadzą do końca wyzwolenczą walkę z zaborcami niemieckimi i położą trwałe podstawy pod przyjazną współpracę radziecko-polską.

POWITANIE CHEŁMA

Wprost z marszu, zakurzony, pobiegłem ulicą,
Jeszcze cichą o świcie i lekko omgloną,
Stając przed każdym domem, każdą kamienicą
I patrząc się, jak szyby ogniem brzasku płoną.

Wróciłem! Jak wyrazić zwykłymi słowami
Dźwięczne szczęście powrotu, w poranku zawarte...
Chyba wcałować w mury, wplakać w każdy kamień
I wszeptać je bezsłownie w okna półotwarte...

Chodzę, pijany szczęściem, bezwiednie szukając
Młodości utraconej przed pięcioma laty;
Błądzą gdzieś uliczkami — i w końcu dostaję
Od młodziutkiej dziewczyny najprawdziwsze kwiaty.

Lipiec 1944.

Współzawodnictwo pracy

R. Sarcewicz

frezer fabryki samochodów
im. Stalina w Moskwie

Opowiadanie tokarza Pietrowa

Prawdę powiedzieć — moi mili,
Ja tam zanadto nie stał o to,
Żeby tak znowu w każdej chwili
Pierwszym i lepszym być z robotą.

Aż raz, by uczcić dzień świąteczny,
Kolega tokarz tak powiada:
Wiesz Pietrow, ja bym chciał koniecznie
Kto lepszy — z tobą się zakładać.

Wyśmiałem najpierw to żądanie,
Po prostu mówię sąsiadowi:
A na co mnie tam zakładanie?
Ja stary, mnie to już nie w głowie.

Tokarz namarszczył się surowo,
Staął, w kieszenie ręce schował:
No, dobrze — mówi, Kiwa głową:
No, to ja będę cię holował.

— Co? Mnie? Pietrowa? Na przyczepę?
E, to już bratku, ubliżenie!
Ja stary, ale ja mam krzepę.
Kiedy tak, to ja słowo zmienię:

Dobrze! W zawody idę śmiało,
Kto lepszy — jeszcze się okaże.
I jak to we mnie zagorzało,
Chodziłem jak ten werk w zegarze.

On robi dwieście, a ja trzysta,
On pięćset, a ja sześćset na to.
Winszować schodzą się ludziska,
Honor i zaszczyt i plakaty!

I sam dyrektor przed plakatem
Dokładnie wszystko czyta z bliska,
I zachwycony takim faktem
Pierwszy podchodzi, rękę ściska.

I zaraz wszyscy do mnie grzecznie,
Dokoła schodzą się ciekawi,
Reporter przyszedł i koniecznie
Ustawia mnie do fotografii.

Ja tam po sobie nie pokażę
Zem taki dumny, zachwycony,
A przecież myślę: patrz tokarzu!
Fabryczny rekord postawiony.

Prawda, że dzielny ty, Piotrowicz
— Pomyślę nagle w zasmuceniu —
Ze ty nad normę dużo robisz,
Lecz bratku — jak tam w twym sumieniu?

Tokarz się biedny z pracą zмага,
A jakże mu się kiepsko wiedzie!
Piotrowicz, czy to nie wypada
Towarzyszowi pomóc w biedzie?

Ty sobie tutaj żarty robisz,
Pracys się imał jak zabawy.
Należy się odebrać tobie
Za to dwadzieścia procent sławy.

Ty musisz się dla druha zmienić.
Sens nie w rekordzie samym stoi:
Dla wspólnej sprawy, wspólnej ziemi,
Trza wspólną pracą się uznoić.

Podszedłem, patrzę — to ci praca.
Cudak ten tokarz pocziwina,
I ostrze kiepsko podprowadza,
I przedmiot kiepsko w łapie trzyma.

Wziąłem narzędzie i cierpliwie
Tłumaczę co i jak się robi.
I rady wszystkie te prawdziwie
Pomogły w pracy tokarzowi.

A gdym zobaczył go w robocie
Jak ładnie błędy swe poprawił:
— Piotrowicz — mówię — to się pociesz.
Zwracam dwadzieścia procent sławy.

I żona zmienia się powoli,
Mój sukces stał się dumą dla niej.
Dawniej wołała na mnie Kola,
A dziś: Koleńka, dziś: kochanie!

Jak po robocie wchodzę do niej,
Gazetę da rozradowana —
Ja patrzę, a na pierwszej stronie
Co to? Mój portret drukowany.

No patrzcież. Z czego taka sława?
Ja nie artysta, albo malarz,
A przecież dumą to napawa,
Toć i gazeta mnie wychwała.

Ja się rozbieram, żona czeka,
Da ręcznik, miłe słowo powie,
Myśli uprzedza, ciągle zerka
W czym by dogodzić mężulkowi.

Za stołem grzecznie miejsce zrobi,
Dobłą kolację przyrządziła,
Zjemy, a potem wyjdę sobie
Przed dom pogwarzyć w wieczór miły.

Dzieci gromadka w kącie gada,
Przystanę sobie i posłucham;
A mój chłopaczek: Hej! — powiada —
Nasz tatko to ci zuch nad zuchy!

Przekrzyczy wszystkich. Nie przestaje
Chępcić się ojcem. Gada o mnie —
No, już ja ci pierwszego maja
Konika kupić nie zapomnę.

— Hej, Piotrowiczu! Siądźcie z nami!
— Dziękuję grzecznie. Ja postoję.
— Nie. Sądźże! Pogwarz z kamratami.
Wysłuchaj, proszę, prośby mojej.

Więc się przysiadę, temat schwyczę,
Gwarzymy sobie, tego, siego,
Jak praca idzie na fabryce?
W rodzinie, w domu — co dobrego?

I sąsiad, skąpy ze zwyczaju,
Mruk niepodobny do człowieka,
Sięga do kurtki i podaje:
No, Piotrowiczu, masz „Kazbeka“.

Ja nie palący, lecz zakurzę.
Bo jeśli proszą, widać trzeba...
Nie będę się ociągał dłużej.
Jeszcze by sąsiad się pogniewał.

A w domu: Kola, kochaneczku,
Połóż się, proszę, na kanapie.
Chcesz, to poczytam ci z książeczki,
A może w radio koncert złapiesz?

Wieczorem czujnie czeka na mnie —
Jeszcze na schodach — drzwi otwiera.
Nie, już pracować tak jak dawniej
Piotrowicz by nie umiał teraz.

Przekład S. S.

W następnym (lipcowym) numerze „MATERIAŁÓW ŚWIETLICOWYCH”
ukaze się sztuka z życia górników Donbassu,

A. Korniejczuka — „Makar Dubrawa“.

W niewoli

(Z poematu „Dom przy drodze“)

Rodził się chłopczyk w wojny dni,
Het od ojcowskich progów,
Kędy szum fali obco brzmi
W baraku na barłogu.

Jeszcze się dobry ni zły dzień
Na świecie mu nie zdarzył,
Ledwie zapłakał — znalazł się
W murach pod okiem straży.

I został tak, na zapas ot,
Los dzielić z całym bractwem.

Miejsce drewniany grodzi płot
I czarny drut kolczasty.

Nocą i dniem bez końca tkwią
Warty przy bramach nieme,
Z drewnianej wieży łypią wkrąg
Poczwórne cekaemy.

Rodził się — dzieciom młodszy brat,
Wieśniacze — synek trzeci.

W podarowanych garstce szmat
Podają matce dziecię.

Wszczepia się, wsysa w matki pierś,
Zrasta się nędza z nędzą
Wraz z mlekiem smak jej słonych łez
Żarłoczne wargi chlepcą.

I zaczął żyć — póki się da,
Więzień od urodzenia.
Za ścianą obce morze gra,
Turla po dnie kamienie.

Ponury wicher nocą dął
I świst w szczelinach rwący
W dach nędzy pukał niby w dno
Koleby piastującej.

Wśród drżących piskląt w chłodne dnie
Matka się z zimnem pora,
Teraz kokosze ciepło swe
Dzieli pomiędzy czworo.

Leżąc w barłogu mokrych szmat
Oddechem swoim grzeje
Synka. A imię chce mu dać
Andrzej — na cześć Andrzeja.

Imieniem ojca chrzci mu skroń
W więzienne noce szepce,
Nie piosnką, myślą mówi doń:

„Synek ty mój, syneček!
Czegoś ty taki smutny — ty
Kropelko rosy, łezko ma,
W tak gorzki czas zrodzonyś mi
Śliczności ty matczynej krwi.

Dlaczego w takie czasy złe
Zieleni się gałązka ma?
Czemuś mój synku zdarzył się
Rodzonej swej w tak ciężkich dniach?

Co tak matczyną chwytasz pierś,
Zmarzłej rączynki grzejesz dłoń —
Przyszłości twojej ani wiesz,
Piętkami czochozasz pościel swą.

Żywy zrodziłeś się na łup
Dla świata co nie syty zła.
Tu żywym źle. Tu tylko trup
W opiece śmierci spokój ma“.

I kruchą łapkę pieści znów
Patrząc na rodzonego.
„A cóż mi — powiedz synku mój —
A mnie tam co do tego?“

„A mnie tam, matko — powiedz — co,
Że ty tu żyjesz w biedzie?
Wojna czy pokój, dobro, zło,
I że ojczyzna sprawą mą
I że niedolą kraj ten zwą
Ja tego nie chcę wiedzieć.

Na co mi wiedzieć o tym, że
Tak gorzko jest na świecie?
Mnie nic do tego. Mnie się chce
Radośnie zacząć życie.

Ja pragnę spać i jeść i pić
I ciepła chcę i światła
I nie obchodzi mnie to nic
Czy zimny czas, czy lata.
I że pobliskiej fali głos
Z obcych mi mórz szeleści
I że jedyny świata los
To troska i nieszczęście.

Ja taki mały — świeżość dnia
Odczuwam twoim ciałem.
Połóż mnie wolno, niech mi wiatr
Rozwiąże rączki małe.

Lecz ty ode mnie wicher precz
Odganiasz, ty rodzona,
Dopóki żywa twoja pierś
Nade mną nachylona.

I chociaż to nie lata blask
Lecz mroczna pora słotna,
Ze mną przeżyjesz straszny czas
Co zmógłby cię samotną.

Niech pełźnie tuman, deszcz niech mży
Wiatr świszczce przez wyłomy —
Jam taki mały, mogę żyć
Ledwie się tli mój płomyk.

Ja taki wąty, głupi szkrab,
Bezbronny, słaby, niemy,
A przecież miły mi ten świat
Przez to żem sam na ziemi.

Spię zgięty w haczyk, nie mam sił,
Nie siądę, nie powstanę,
Odkryj mnie! — tak bym błogo śnił
Nagi na twych kolanach.

Krzesło przed sobą sunąłbym,
Stawiając kroki pierwsze —
Z dmuchawca jam oddechem swym
Nie strącił puchu jeszcze.

Na ganek przez oporny próg
Nie wypelzałem z rana
I jeszcze nie czas bym cię mógł
Zawołać słowem „mama“.

No, wreszcie powiedz, kto tam wie
Kiedy się rodzą dzieci,
Jakie im losy, jakie dni
Znaczone są na świecie.

Tu zbędny, ja bym może dał
Ostoję twej przyszłości —
Wszak wszystkie zuchy dziś na schwał
Z maleńkich chłopców wzrosli.

Może na równi z nimi mnie
Postawi świat — jedyna,
Rodzona ma! — a nie, to nie,
Nie moja będzie wina.

Ze pragnę żyć, że ojca chcę
Przytulić w dni wolności —
Przecież twarz jego dałaś mnie
I to twej ból miłości.

I te przymioty drogie ci
Co obcym oczom skryte.
Nie daj mnie, uchroni w wojny dni“.

„— Nie dam, ty mój powity.
Nie dam, ustrzegę wiotką nić
Zasłonę własnym ciałem
Póki mi czuwać, póki żyć
Przy tobie synku mały“.

I chłopczyk żył. Na zapas ot
Więziony z całym bractwem —
Miejsce drewniany grodzi płot
I czarny drut kolczasty.

Nocą i dniem bez końca tkwią
Warty przy bramach nieme.
Z drewnianej wieży łypią w krąg
Poczwórne cekaemy.

Wiedzieli starzy, chłopczyk zuch —
Tu kompan im nie dziecko
I w przewinieniu także druh
Że nie jest krwi niemieckiej.

Rankami słysząc kroków stuk
To Jednoręki blisko:
„Sprawdzać kto żyw, a kto trup!
Porządek przede wszystkim!“

Z tabliczką w poprzek, w przód i w tył
Aż dzieło swe wykonał:
Kto umarł — kółko, a kto żył —
Pałeczka postawiona.

Równy, rytmicznie rozkaz gra,
Spojrzeń zdawkowych błyski:
„Kto żywy — trupy sprzątać ma
Porządek przede wszystkim!“

A chłopczyk żył i widać że
Przyroda nie z przypadku
Obrała mu hartowną krew
Wolnej Rosjanki matki.

W wielkich i małych liczbie on
Skoro w niewolę popadł
Z ojca jest muzyk, siła-chłop
I chwyt na miarę chłopca.

On żył i żył i druhom swym
W tym życiu złym i trudnym
Więzienny dobry kamrat był
W męczeństwie, w biedzie równy.

Jakaś nieznana dobra dłoń
Wsuwiała w pościel mamy
Kamień co ciepłem darzył ją
W tajnym ognisku grzany.

Jakaś nieznana ręka jej
W blaszance wodę grzała,
Aby dla syna w piersi swej
Pokarmu nazbierała.

Dziad co w pobliżu leże miał,
Fufajkę, skarb swój drogi,
Gdy przyszło skonać — w spadku dał
Małemu Andrzejowi.

A przybył ktoś w więzienny próg —
Też czuwał nad rodziną;
Kromeczkę chleba, co kto mógł,
Choćby i pyrkę siłą.

I tak półmartwi — czasem strach
Śmierć ślipiem gdy zaświeci —
Zielonych doczekali traw,
Matka i czworo dzieci.

Runął nad morzem pierwszy grzmot,
Sosenki deszcz ochłodził
I ocknął się drzemiący w noc
Tłum jeńców na zagrodzie.

Gospodarz — dobry, zły — kto wie?
Do orki, do roboty,
Rad że przybędą ręce dwie
A że z kołchozu, co tam.

Chleba i kaszy zważył jej
W myśl przepisanej normy
Zaś dzieci? — Darmo nie da jeść;
Tych co pracują karmi.

Ale nie uczyć matki jak
Okruch na okruszynie
Dzielić. Choć skąpo toż i tak
Nakarmi swe dzieci.

Ani się lituj twardej rąk!
Zwykłej żołnierskiej żonie,
Że bruzdę męsk'm szpadlem rwą
Słabe, kobiece dłonie.

No, ziemia wszędzie ziemią jest
A przecież woń topoli,
Woń stęchłej trawy przecie też
Zawsze się w kraju woli.

Toć wiosna wiosną, ale to
Staszno i dziwnie przecież:
We Wschodnich Prusach — widział kto?
Siwcową chowa dzieci.

I obcy ruczaj w ziemi tej
Obcym mamrotem gada
I w betonowych rurach jej
Słona się zdaje woda.

Czerwoną cegłą kryty dach,
Podwórze niczym niecka.
Kogut, gdy zapiał, wstrząsa strach —
Też jakby po niemiecku.

Nie wiedzieć kiedy, jak i gdzie
Mijają roku pory,
Dzieciak głuptasek czołga się
Prosto na próg obory.

Córka, z najmłodszych ta, co już
Poniańczy małego,
Urwała mu pod łańcem zbóż
Dmuchańca puszystego.

I chłopczyk dmuchał, długo dął
Na mleczną jasną łok, —
I tak jak krzesło, skrzynkę pchnął
Ucząc się stawiać kroki.

Wiatrowi gdy nastawił twarz
Zachwiał się tuż nad jamą.
I przyszła pora — pierwszy raz
Wymówił wreszcie: „mama“.

Matczyne oczy zaszyły łzą
I z bólu i z radości,
Że wypowiedział słowo to
W niewoli jej najmłodszy.

Świtem w pokojów wczesnych czas
Rumianki tak pachniały
I koniczyzny — z nimi wraz
Mięta i kaszki białe.

I ta wiosenna kwiatów pieśń
W pamiętne wonne rano
Była dla serca niby wieść
Z ojczyzny ukochanej.

O, jaki wielki smutek ma
Woń lasów, pól, ogrodów,
Jak gdyby skądś z daleka szła,
Z daleka, hen, ze wschodu.

I matka z dziećmi w takie dni
Umieli n'eraż wierzyć,
Że zaraz ojciec zjawi się
I że ich stąd zabierze.

Myślała matka niby w śnie
W nadziei swej i trwodze,
Że on do domu śpieszy się,
Tylko gdzieś utknął w drodze.

A niedaleko stąd, o krok,
Gdzie krawędź tego kraju,
Gdzie bez ustanku czwarty rok
Dwa wojska się ścierają,

Na skrętach przyfrontowych dróg,
Na leśnych drogowskazach
Pisaliśmy kto żył, kto mógł,
Litery swych przykazań:

„Nie oszczędzaj
Wroga
W boju!
Walcz!
Oswobodź
Dzieci swoje!“

Przełożyła
Stanisława Sznapier-Zakrzewska.

„WIELKI ŚWIAT”

(Skrót dla użytku teatrów świetlicowych).

Osoby:

WARIA
ANIUTA
SAMCOW
BUSZAKOW
DYMKOW
TONIA
NIEFIEDOW
STARZEC
KOŁCHOŹNICY
KOŁCHOŹNICE
PODKOŁZIN
SERGIUSZ
SZAPOWALICHA
WOŁKOW

Na pagórku, jakby wywyższając się ponad inne, stoi czyściutki, świeżo pomalowany domek z jednookiennym pokojem na strychu. Za domkiem rzeka i las.

Wczesny ranek. Pod oknami dojrzewają wielkie jabłka. Waria zagląda do okna i ciągnie za sobą Aniutę.



Z życia wsi radzieckiej. Po pracy.

Scena I.

WARIA: A nie mówiłam ci? W nocy przyjechał wóz i wszystko wywieźli. A on pojechał z nimi...

ANIUTA (zaglądając przez okno): Prawda! Jak przestronnie się zrobiło...

WARIA: Nic nikomu nie powiedział. Ciekawe, co on właściwie wymyślił. Dlaczego tak postąpił?

ANIUTA: A ja wiem. Wiem na pewno. Czuję sercem...

(Wbiega Samcow).

SAMCOW (podniecony): Wrócił Sergiusz?

WARIA: Nie.

SAMCOW: Tyle czasu! Chyba się tam w okręgu opala, a ja tutaj muszę za wszystko odpowiadać.

WARIA: A co takiego?

SAMCOW: Jak to co? Mamy uruchomić elektrownię przed żniwami, a jeszcze turbina nie wykupiona. A co najważniejsze — już nie ma pieniędzy.

ANIUTA: To przecież wasza wina. I to z waszego powodu wezwali Sergiusza do komitetu okręgowego...

SAMCOW: Z mojego powodu?

ANIUTA: A z czyjego? I jeszcze ten portret zamówiliście!

SAMCOW: No to co? Kto jest kierownikiem budowy? Bohater Związku Radzieckiego. A co to znaczy? To znaczy, że musimy go jakoś uczcić. A ponieważ jestem jego zastępcą, więc postanowiłem zamówić jego portret...

WARIA: Och, i dostanie wam się za ten portret, kiedy Sergiusz wróci.

ANIUTA: Jemu się dopiero dostanie, a Sergiusz już na pewno za niego dostał w komitecie. (Oddala się).

WARIA: Sergiusz nauczy go, jak się obchodzić z pieniędzmi społecznymi.

(Zjawia się Buszakow).

SAMCOW: Ty mnie nie strasz! Ja się niczego na świecie nie boję. Tylko że ci przewodniczący dzisiaj przyjadą. Znowu trzeba będzie mówić, a Sergiusza nie ma.

BUSZAKOW: Tak, ci przewodniczący na pewno cię żywcem zjedzą, razem z teczką, a szczególnie baby...

SAMCOW: Lepiej bądź cicho. Ja cię w ogóle proszę... Słyszałeś jaką plotkę puścić? Ze Sergiusz uciekł...

BUSZAKOW: A co? Zupełnie możliwe. W Łuzkach tak samo było. Przyjechał jeden i powiada, założę wam radio. Wziął pieniądze, a potem zszast i zniknął...

WARIA: Ojciec choć tutaj nie wsuwałby nosa.

BUSZAKOW: A co — może nieprawda? Podkołzin Tichon Kuzmicz zawsze mówił: złożyłyby się dwa — trzy kołchozy i malutka elektrownia dawno byłaby gotowa. Ale wy z takim rozmachem zaczęliście, że...

(Zjawia się Dymkow, a następnie Tonia).

DYMKOW: Buszakow, co ty tutaj robisz? Przecież powinieneś być na tamie.

BUSZAKOW: Już idę. (Oddala się).

DYMKOW: Zupełnie jak w święto. (Spojrzał na zegarek na rękę). A Sergiusz Tichonowicz przed wyjazdem wyraźnie powiedział, żeby nie tracić ani jednej minuty. (Zobaczył Tonię). No, jak tam twoje słupy, Toniu? Postawiliście?

TONIA: W tym sęk... Wykopaliliśmy sto trzydzieści siedem dołów, a kołchoz „Paryska Komuna“ przywiózł tylko sześćdziesiąt słupów i więcej nie chce...

DYMKOW: Jak to nie chce? Przyprowadź ich tutaj...

(Tonia wychodzi. Zjawia się Niefiedow).

NIEFIEDOW: Fiodor, jakie kłamry są potrzebne? Trzeba zmierzyć. (Wyciąga centymetr).

DYMKOW (pokazuje rysunek): To nie klamry, a zwory...

NIEFIEDOW (przyglądając się rysunkowi): Rozumiem. Tak. Znaczy podłużne...

(Zjawia się Tonia i starzec o kuli).

TONIA (do Dymkowa, z szacunkiem): Oto, Fiodor Panteleicz, z „Paryskiej Komuny“.

DYMKOW: Witajcie, „Paryska Komuna“! Ile słupów zobowiązał się dostarczyć wasz kołchoz?

STARZEC O KULI: Sto siedemdziesiąt.

DYMKOW: A ile dostarczył?

STARZEC O KULI: Tak jakby...

DYMKOW: „Tak jakby“ nie wystarczy. Mów dokładnie.

STARZEC O KULI: No, powiedzmy, sześćdziesiąt dwa. A o co chodzi?

DYMKOW: Gdzie jeszcze sto osiem? Podpisaliście umowę o współzawodnictwie z kołchozem imienia Budiennego?

STARZEC O KULI: Podpisaliśmy. Ale czy można nas porównywać z „Budiennym“? Mamy mało koni...

DYMKOW: A „Budiennyj“ ile ma koni?

STARZEC O KULI: Nie wiem.

DYMKOW: A ja wiem. Mają o osiem koni mniej i nie skarżą się, tylko pracują.

STARZEC O KULI: Ale u nas w kołchozie nie wszyscy są zdrowi. I ja, można powiedzieć, też jak gdyby inwalida.

DYMKOW: Inwalida? No i cóż teraz robić? Mn'e także Hitler dwa żebra wyjął...

NIEFIEDOW (patrząc na rysunek): Ty Fiodorze, nie martw się o żebra. Byleby łeb był na karku, i żebra odrosną...

DYMKOW: Ja też tak myślę. Ale ludzie jakoś nie mogą tego zrozumieć. Nie, „Paryska Komuna“, pojutrze o godzinie osiemnastej, wszystkie słupy mają być na miejscu. Sam sprawdzę.

STARZEC O KULI (odchodząc, do Tonia): Bardzo surowy człowiek. Ale co robić? Podpisaliśmy...

WARIA: Dymkow! Ja pewnie także będę musiała zebrać swoją brygadę do roboty w polu...

DYMKOW: Nic nie wiem. Nie miałem polecenia, żeby wysłać ludzi. Za parę dni przyjadą z miasta monterzy. Słyszałaś, co mówiono na zebraniu komsomolskim? To wszystko. (Oddala się).

NIEFIEDOW (do odchodzącej Toni): A mówiłaś, że chłopak ma miękki charakter. Według mnie to nie chłopak, a tygrys...

TONIA (ukrywając zadowolenie): Ale... (Wychodzi).

NIEFIEDOW: Ot, zuch Sergiusz! Wszystkich umiał wciągnąć do sprawy. Myślałem... Na cóż ja mogę się zdać, a i mnie podźwignął...

WARIA: Tylko swojego ojca nie mógł przerobić. Podkołzin znowu coś wymyślił. Sprzedał rzeczy, coś kręci. Prawda?

NIEFIEDOW: Ech, Waria! Czy ty możesz wiedzieć, gdzie jest prawda, jeśli każdemu człowiekowi chcesz najpierw jakąś własną etykietkę nalepić. Ten, powiadasz, jest dobry, a ten — zły. A człowiek nie zawsze pod etykietką się mieści. Na przykład Podkołzin... Podkołzin całe życie walczył o wielką sprawę...

WARIA: Tak, wiem. Byłam przecież w jego oddziale partyzanckim. Jakże go podziwiałam! A on?!...

NIEFIEDOW: Co on? On i teraz robi to, co do niego należy. Kieruje gospodarstwem. I nie najgorzej...

WARIA: Jednak Sergiusz nie poparł go. To źle! Samiście mówili...

NIEFIEDOW: Mniej słuchaj co kto mówi, a więcej patrz co kto robi. Jeśli nawet Podkołzin popełnił błąd, sam ten błąd naprawi...

WARIA: Zanadto w niego wierzyście.

NIEFIEDOW: A cóż? Trzeba wierzyć w człowieka, póki żyje i pracuje. I zrobił niemało... (Wychodzi).

WARIA (idzie za nim): Tak, sama chciałabym wierzyć... Nie jestem przeciwniczką Podkołzina. Nie rozumiecie mnie. (Wychodzi).

(Wchodzą podnieceni sprzeczką Samcow i kilku przewodniczących kołchozów).

STARSZA KOŁCHOŹNICA: A najważniejsze, żeśmy już motory kupili, żeby na elektryczności pracować.

KOŁCHOŹNIK Z MEDALEM: A elektryczność jeszcze, ho, ho... w lesie.

STARZEC O KULI: Jeszcze pytanie: dla kogo ona będzie? (Do Samcowa). Na pewno dla was, kierowników, stojących blisko.

STARSZA KOŁCHOŹNICA: Sobie toście druty przeprowadzili, a dla nas nawet drutów nie starczyło.

STARZEC O KULI: A pieniądze, a pieniądze kto dawał?

SAMCOW: My z naszego kołchozu dajemy siłę roboczą. A druty powinien przywieźć Sergiusz Tichonowicz. Część, prawda, kupiłem po cenie rynkowej.

STARZEC O KULI: Ale za czyje pieniądze kupiłeś? Za czyje? I u kogo? U złodziei na rynku kupiłeś. Zapłaciłeś trzy razy drożej.

STARSZA KOŁCHOŹNICA: Rozpuścił ciębie Sergiusz Podkołzin. Zmarnowaliście pieniądze.

KOŁCHOŹNIK Z MEDALEM: Powiadają też, że jakiś portret zamówił. I po co portret? Po co?

SAMCOW: Wy na mnie nie napadajcie... Jeśli chcecie wiedzieć, ja rezygnuję. Umywam ręce. (Wchodzi Podkołzin).

PODKOŁZIN: I czegoż się tak swarzycie, niczym wróble przed deszczem.

STARSZA KOŁCHOŹNICA: Ano, wpadł tutaj twój synek.

STARZEC O KULI: Mnie się zdaje, żeśmy tu wszyscy wpadli.



Z życia wsi radzieckiej. Przy pracy.

KOŁCHOŹNIK Z MEDELEM: Wpakowaliś-
my pieniądze... a końca nie widać.

STARSHA KOŁCHOŹNICA: A co najważ-
niejsze, trzeba ludzi z budowy zabierać. Zboże
trzeba sprzątnąć z pola. Zboże nie może czekać.
(Wskazując na Samcowa). A on, widzicie, co tu
narobił na cudzy koszt.

PODKOŁZIN: Dlatego nazywamy go Chur-
chillem, że on na cudzy koszt...

(Zjawia się Buszakow).

BUSZAKOW: Przyjechał, przyjechał! Sergiusz
Tichonowicz przyjechał.

STARZEC O KULI: Przyjechał? Dlaczego nic
nie mówisz?

KOŁCHOŹNIK Z MEDELEM: Gdzie on
jest?

BUSZAKOW: Poszedł do siebie, do biura.
Rozmawia z Dymkowem.

GŁOSY: Idziemy do niego. Wyjaśnimy. To
ci robota! Aleśmy się wpakowali. (Wychodzą).

PODKOŁZIN (patrząc za nimi): Otóż i masz,
Sergiuszu. Wybrałeś sobie Churchilla za pomocni-
ka. Żebyś tylko przez niego karku nie skręcił.
(Idzie do domu).

(Aniuta, która się już dawno zjawiała, obserwo-
wała z daleka Podkołzina. Teraz niezdecydowanie
zatrzymała się przed jego domem. Podkołzin, uj-
rzawszy przez okno Aniutę, wyszedł na ganek).

PODKOŁZIN: Po coś przysia? Może chcesz
sprawdzić, czy wszystko sprzedałem? Twój kufer
jest. Możesz go sobie wziąć.

ANIUTA: Na co mi on?

PODKOŁZIN: Wszyscy krzyтели: Podkołzi-
nowi, powiadają, rzeczy potrzebne. A ja patrzę
na tę starzyznę i duszno mi od niej. Zupełnie jak-
bym sam sobie kajdany założył. Na co mi te
wszystkie skorupy? Piękniejsze mogę mieć, jeśli
zechcę. Ale teraz niczego mi nie trzeba. Już się
wyleczyłem. I ty mi nie jesteś potrzebna.

ANIUTA: Naprawdę? A ty mi jesteś potrzeb-
ny. Przecież ja wszystko wiem...

PODKOŁZIN: Co ty wiesz?

ANIUTA: Wiem co chcesz zrobić. Zawsze
mówiłam: mój Kuźmicz, to orzeł. Zawsze byłam
dumna z tego, że mnie kochasz. (Położyła mu rę-
ce na ramionach). Przecież kochasz?

PODKOŁZIN: Kłamiesz, Aniuto, kłamiesz.
Ja nie orzeł, to Sergiusz teraz jest orłem.

ANIUTA: Cóż. Sergiusz wszystko zdobędzie
na przekór wszystkim. Zuch...

PODKOŁZIN (zrzucając jej ręce ze swoich
ramion): No, to idź do niego. Idź!

ANIUTA (szybko idąc po schodach na ga-
nek): A po cóż mi do niego iść, jeśli przysłałam
do ciebie. (Śmieje się). Wygonisz?

(Zjawiają się, sprzecząc ciągle Sergiusz
i Samcow).

SAMCOW: Mnie bardzo przykro, Sergiuszu
Tichonowiczu. Staralem się, wylazilem ze skóry,
a wyszedłem na tym jak dureń. Znaczą się, to ja
jestem wszystkiemu winien...

SERGIUSZ: Nie, to moja wina, że ci zaufa-
łem. Jak to się stało, że od razu nie zorientowa-
łem się, że ty jesteś po prostu jakiś...

SAMCOW: A więc tak? Cóż zrobić! Trzeba
wszystko rzucać?

SERGIUSZ: Tak. Żeby śladu po tobie nie zo-
stało.

SAMCOW: Cóż! No, to moje uszanowanie.
(Uchylił czapki i wyszedł).

SERGIUSZ (zobaczywszy ojca): Dzień dobry,
ojcze.

PODKOŁZIN: Dzień dobry. Co, już między
sobą koty drzecie?

(Sergiusz beznadziejnie machnął ręką).

Przewodniczący przyjechali, widziałeś? Chcą
ludzi z budowy zabrać. Zboże już dojrzało. Trze-
ba czym prędzej zbierać. Ja dzisiaj już od świtu
na polu. Dusza boli.

SERGIUSZ: Trzeba będzie pewnie na czas
źniw przerwać budowę.

PODKOŁZIN: Na czas żniw? A potem na
czas zasiewów.

SERGIUSZ: Cóż zrobić?

PODKOŁZIN: Właśnie o to chciałem ciebie
zapytać. Czy w zeszycie Maksyma Iwanycza nie
napisano, że jeśli samodzielnie zaczynasz jakąś
robotę, musisz ją doprowadzić do końca?...

(Wchodzi Waria).

SERGIUSZ: Nie niepokój się, doprowadzę.
Ale to nie tylko o mnie chodzi. Przyznano nam
kredyty i materiały, ale Wołkow ciągle ni to, ni
owo. Trzeba stale jeździć to do komitetu partyj-
nego, to do okręgu, żeby jakoś wpłynąć na niego.
I z tego powodu właśnie musiałem polegać na
Churchillu. I widzisz, co narobił, ten Churchill.

PODKOŁZIN: Od razu było widać co za
ptaszek z tego Churchilla. I Wołkowa dawno zna-
my. Ale chłopie nie ich, ale nasze nazwisko mają na
ustach i nas znieważają. Turbina, powiadają, jesz-
cze nie wykupiona, a pieniądze, powiadają, Ser-
giusz Podkołzin już zaprzepaść!...

SERGIUSZ: Jakie pieniądze. Nie wszystkie
kołchozy wniosły swój udział. Niektóre jeszcze
nie mogą...

PODKOŁZIN: Nie mogą. Wszystko więc jest
tak, jak przewidywałem. To już nie wspólnicy,
ale pasażerowie na gapę. Trzeba teraz pozbyć się
zbytecznych pasażerów. Niech będzie niewielka
elektrownia, ale trzeba ją szybko dokończyć. Oto
daję teraz pieniądze na ten cel. Wszystkie pieni-
dze, jakie mam. Później się rozliczymy...

WARIA: Swoje własne pieniądze?

PODKOŁZIN: A czyż by? Może cudze?
Naturalnie, że moje własne.

WARIA: To rozumiem. Nawet nie przypusz-
czałam...

PODKOŁZIN: Nie przypuszczałaś? Już nie-
którzy, nie przypuszczając, zrobili ze mnie kula-
ka. A mówiłem, trzeba zbudować elektrownię
choćby taką jaką była przed wojną. I teraz mó-
wię to samo. Nie trzeba nam „lipowych“ współ-
ników. Jak wybudować wielką elektrownię dla
wielu kołchozów, jeśli nie ma możliwości?

SERGIUSZ (drwiąco): A więc, ojcze, znowu
jesteś bohaterem. Nawet Waria uznaje to. Wszy-
stko jest jasne. Wnoszę, powiada, pieniądze,

i wszystko ma być tak, jak ja chcę, za moje własne pieniądze...

ANIUTA (nieśmiało): Ty, Sergiuszu, spróbuj najpierw sam zarobić pieniądze. Wtedy zobaczymy. (Idzie do domu).

PODKOŁZIN: Właśnie, zapracuje! Nie, lepiej słuchaj ojca, jak dawniej słuchałeś...

SERGIUSZ: Słucham. Ale dawniej mój ojciec był jakiś inny. Nie pieniądze, lecz duszę wkładał w sprawę. I nie za pieniądze kupował autorytet. A teraz... Za swój wkład żądasz bardzo wiele. Chcesz wszystko zawrócić z drogi. Oto, powiada, miałem rację. Twoja ambicja...

PODKOŁZIN: Milcz! Nie myślę teraz o ambicji, widzę, że przepada sprawa, wielka sprawa...

SERGIUSZ: Jak dotąd, jeszcze nie przepadła.

PODKOŁZIN: Nie chcę czekać aż przepadnie. Nie proponuję ci głupstw. Ta sprawa ważniejsza jest niż nasze uczucia. Nasze właśnie później załatwimy. Albo i nie załatwimy... Pomyśl nad tym, co mówię. Kolchoźnicy, którzy są na budowie, mogą zostać. Nie zabiorę ich do żniw. Zrobimy je z mniejszą ilością ludzi. Jak myślisz, Waria, damy sobie radę?

WARIA: Jeśli trzeba, damy radę.

PODKOŁZIN (do Sergiusza): To moje ostatnie słowa. A po pieniądze możesz zająć kiedy chcesz. Do zarządu. (Idzie do domu).

SERGIUSZ: Nie, nie potrzeba nam twoich pieniędzy, ojcie. Obejdziemy się i towarzyszy nie wygonimy. Zmusimy ich do pracy.

WARIA (idzie za nim): Jednak tak nie można. Sprzedał rzeczy, chce dać pieniądze. Jest lepszy niż myślałam...

SERGIUSZ: Tu nie o pieniądze chodzi. I Churchill tak dużo nie wydał. Tylko wiele hałasu narobił. Ale ten hałas — to najgorsza rzecz. Ludzie, patrząc na Churchilla, myśleli, że my się tutaj zabawiamy. I za to dostało mi się w komitecie. Jednak pomoc obiecali. Bank otworzył nam kredyt. Turbinę już wiozą...

WARIA: To znaczy, że wszystko w porządku?

SERGIUSZ: Nie, nie wszystko w porządku. Teraz właśnie najtrudniejsze zadanie przed nami. Trzeba, jak mówi ojciec, nabrać rozmachu. Ale ojciec, jakież on jest! Co? Rozruszałśmy go. Żółty chłop, mimo wszystko, ten mój ojciec...

Kurtyna

Na scenie płot, jaki zwykle otacza budowę. Nad płotem tabliczka: „Elektrownia imienia Maksyma Iwanowicza Szyszkina“. Z furtki wychodzi Buszakow. W rękach trzyma część ramy transmisyjnej. Za nim idzie Niefiedow w skórzanym fartuchu kowala i Sergiusz.

NIEFIEDOW: Zanieś ją do mojej kuźni, zaraz zrobimy.

SERGIUSZ: Cóż, znowu musimy cię trudzić.

NIEFIEDOW: To nic... Bardzo mi przyjemnie. Wszyscy ciągle mówią: technika, technika,



Z życia wsi radzieckiej. Wiejski dom kultury.

wyższa technika. U ciebie pracują majstrzy z miasta, a okazuje się, że wiejski kowal także się może przydać.

(Sergiusz, Niefiedow i Buszakow wychodzą. Z furtki wychodzi Dymkow. Wbiega Tonia ze skrzynką w rękach).

TONIA: Co się stało?! Czy jakiś wypadek?

DYMKOW: Spokojnie. Bez paniki. Nie było żadnego wypadku. Kierownicy trochę nawalili. Ramy nie nadają się.

TONIA: To znaczy, że dzisiaj nie puścimy?... Już wieczór.

DYMKOW: Puścimy, Antosiu, puścimy. Światło będzie, choćby w nocy. Wałki przyniosłaś?

TONIA (oddając skrzynkę): Są. Ale się skompromitujemy! Przecież Sergiusz powiedział, że puścimy, zanim skończą żniwa. Nie, ja nie o tobie, Fiedia. Widzę, jak pracujesz. Jesteś po prostu jak ogień. Jestem z ciebie dumna... Przecież Waria przez dwa tygodnie nie była ani razu w domu. I cała jej brygada. Nie przyjedźmy, mówi, dopóki nie skończymy. A teraz oni wszystko skończyli, a my...

DYMKOW (przewracając w skrzynce): Co my? A oni, czy już tutaj jadą?

TONIA: Właśnie o to chodzi. O, patrz...

(Zjawia się Podkołzin).

PODKOŁZIN (do Dymkowa): Jak się masz, majstrze! Co tu u was słychać?

DYMKOW: Jak się macie. Niczego. A jak wasze żniwa?

PODKOŁZIN: Wszystko zakończyliśmy. Wszystko. Nasi ludzie są jak ogień. A zwłaszcza dziewczęta. Waria Buszakowa — to król wśród dziewcząt. Jak świetnie pracuje, można się zakochać. Nie, Sergiusz nie jest głupi. Wybrał sobie taką...

DYMKOW (szukając w skrzynce): Sergiusz Tichonowicz w ogóle jest zawsze zuch. Tonia, a gdzie kontakty? Prosiłem, żeby kontakty także przynieść...

(Tonia wychodzi. Zjawia się Samcow w kapeluszu, palcie z brezentową teczką).

SAMCOW (podniecony): Dzień dobry. No, jakże tam? Kiedy będą puszczać? O której godzinie?

PODKOŁZIN: A ty skąd?

SAMCOW: Ja teraz pracuję dla mas.

PODKOŁZIN: Dla jakich mas?

SAMCOW: Właśnie, teraz będę tłumaczył. Obecnie pracuję w ośrodku rejonowym. Zrozumieście? Dla mas.

PODKOŁZIN (patrzając na Samcowa): Ależ żywotny człowiek. Z jednego miejsca przegnali i popatrz, on znowu gotowy. Wszystko w twoim życiu jest przypadkowe. I do partyzantki też tak się dostałeś, jechałeś przecież. I przypadkiem byłeś przewodniczącym kolchozu. I teraz...

SAMCOW: Ty się do mojej biografii nie wtrącaj. Chcę wyjaśnić jedną sprawę...

PODKOŁZIN: Cóż takiego?

SAMCOW: Rozumiesz, nagle przyjechali cudzoziemcy. Chcą zobaczyć jak się dzisiaj odbudowuje kolchozy. Przywiozłem ich z rejonu. Trzy

baby w okularach i jeden mężczyzna. Anglicy, czy licho wie kto. Z tłumaczem. Przywiozłem nawet kucharza z miasta. Teraz piecze bliny w Łużkach. I cudzoziemcy tam są. Czekają na bliny i oglądają przyrodę. Z tłumaczem.

PODKOŁZIN: A te bliny po co?

SAMCOW: Tak trzeba. „Style russe“.

PODKOŁZIN: Czego?

SAMCOW: Tłumacz powiedział, że jeżeli, powiada, przyjechali do nas cudzoziemcy, to muszą obowiązkowo zjeść bliny. Nazywa się to „style russe“. Jednym słowem oni myślą, że my tutaj jemy właściwie tylko bliny i kapuśniak...

PODKOŁZIN: W takim razie, rozdaj im jeszcze łapcie.

SAMCOW: A po co?

PODKOŁZIN: Podobno są przekonani, że w Rosji kapuśniak jedzą łapcami.

SAMCOW: Ciebie się zawsze tylko żarty trzymają, a ja nie mam czasu. Jak tylko zjedzą bliny, muszę ich tutaj sprowadzić, żeby zobaczyli puszczenie w ruch elektrowni. Czy wszystko gotowe? Na co właściwie czekacie?

DYMKOW: Na ciebie, i właśnie z cudzoziemcami. (Idzie do budki).

PODKOŁZIN: Skąd wzięłeś kapelusz?

SAMCOW: Dziś kupiłem, rozumiesz, na powitanie cudzoziemców. A więc puszczenie w ruch elektrownię? W takim razie leć. (Wychodzi).

(Wchodzi Szapowalicha).

SZAPOWALICHA: Dzień dobry! Więc dzisiaj elektrownia zaczyna? A gdzie siostrzeńiec?

PODKOŁZIN: Jeszcze go nie widziałem. Dopiero wróciłem z pola...

SZAPOWALICHA: Żniwa zakończyliście? Nawet nas trochę wyprzedziliście. Przed chwilą widziałam Warię. Taka wesoła, zadowolona. Będziesz miał miłą synową.

PODKOŁZIN (niewyraźnie): Miłą...

SZAPOWALICHA: Pójdę, popatrzę co u nich słychać. (Zatrzymała się u furtki).

(Wbiega Buszakow).

BUSZAKOW: Wojkow przyjechał.

PODKOŁZIN: Masz ci los... Mógłby trochę później przyjechać. Zrobiłeś, co kazałem?

BUSZAKOW: Wszystko w porządku. Tylko Wołkowowi teraz nie do muzyki. Krótko mówiąc, dowiedziałem się o czymś... Wołkowa usuwają ze stanowiska.

PODKOŁZIN: Co?

SZAPOWALICHA: Usuwają?

BUSZAKOW: Jego szofer, Niurka, powiedziała mi to w tajemnicy. Przecież Niurka to szofer. Kłamać nie będzie.

(Wchodzi Wołkow).

PODKOŁZIN: A za co?

BUSZAKOW (do Podkołzina, nie widząc Wołkowa): Podobno nie poparł tej, no jak ją tam... perspektywy...

PODKOŁZIN: Ach tak... Wszystko jedno, nie wierzę, nie może być...

WOŁKOW: Nie dziw się. Już ostatnie dni jestem przewodniczącym. Prawda, że dawno prosiłem. Ale nie puszczała. A teraz, zdaje się, że speł-

nią moją prośbę. Ale tak jakoś nieoczekiwanie. Cóż, byłem agronomem i znowu nim będę.

BUSZAKOW: Zawsze, to nie to.

WOŁKOW: Tyle wiem i bez ciebie.

DYMKOW (z budki): Buszakow!!

BUSZAKOW: Idę! (Wychodzi).

WOŁKOW: Podobno Sergiusza wyznaczą na moje miejsce. Tak słyszałem...

PODKOŁZIN: Sergiusza?...

WOŁKOW: A dlaczego nie? Sergiusz to odpowiedni człowiek.

(Wchodzi kołchoźnica).

KOŁCHOŹNICA: Tam ludzie pytają, co będzie jutro, czy zaczynamy młócić, czy czekamy na elektryczność...

PODKOŁZIN: Przepraszam, ja na chwilę. (Wychodzi).

SZAPOWALICHA: A ty nie martw się.

WOŁKOW: Ja się nie martwię. Skąd ci przyszło to do głowy?

SZAPOWALICHA: Pojedziemy do mojego kołchozu. Będziesz pił mleko.

WOŁKOW: Jak cielę?

SZAPOWALICHA: Dlaczego jak cielę?

WOŁKOW: A poza tym?

SZAPOWALICHA: Jeśli zechcesz, zostaniesz u mnie.

WOŁKOW: Więc chcesz za mnie wyjść za mąż?

SZAPOWALICHA: A bo co?

WOŁKOW: I czekałaś z tym, aż mnie usuną?

SZAPOWALICHA: Nie czekałam. Ale to dla ciebie z pożytkiem. Przecież ciągle skarżyłeś się, że sprawy, sprawy... Chce się człowiekowi zatrzymać, a życie pędzi... Czytałam niedawno w gazecie wiersze: „Pędzi w dal wóz historii, migają ślepe słupy”. Więc, Włodeczku, trzeba albo ten wóz zatrzymać, albo ciebie usunąć ze stanowiska.

WOŁKOW: Kpisz?

SZAPOWALICHA: Nie kpię, ale i płakać nie mam ochoty. Za to właśnie tak kocham naszą władzę, że u nas nikomu żadne stanowisko nie pomoże, jeśli zboczy z drogi, lub zmęczy się zbyt wcześniej.

WOŁKOW: A za co mnie kochasz, jeśli, jak mówisz, zmęczyłem się?

SZAPOWALICHA: Nic nie szkodzi, odpoczniesz, Włodeczku, i wszystko będzie dobrze. (Bierze go pod rękę i wychodzi z nim).

(Niefiedow przynosi do furtki skróconą część ramy. Nagle zaczyna grać muzyka. Zjawiają się Buszakow i Podkołzin).

BUSZAKOW (uśmiechając się radośnie, do Podkołzina): Słyszałeś? A mówiłem, że wszystko w porządku.

(Z furtki wychodzi Sergiusz).

SERGIUSZ (niezadowolony): Co to za muzyka? Kto to wymyślił?

BUSZAKOW (uroczyście): To Tichon Kuzmicz zrobił niespodziankę z powodu zakończenia żniw i z powodu zdobycia pierwszego miejsca



Z życia wsi radzieckiej. Młodzież po pracy.

przez brygadę Warii Timofiejewny, no i z powodu uruchomienia elektrowni. Polecił zwolnić wcześniej od pracy każdego, kto umie grać...

SERGIUSZ (zobaczywszy ojca): Dzień dobry, ojcie! A my dzisiaj chcemy tylko wypróbować elektrownię.

PODKOŁZIN: To znaczy, że znowu nie zga-dłem, Sergiuszu?

SERGIUSZ: Przestań udawać. I dlaczego do mnie tak mówisz? Ech, ojcie...

PODKOŁZIN: Wywyższyłeś się. Wywyższy-łeś się.

SERGIUSZ: Dlaczego tak mówisz? Przecież sam rozumiesz, że nie chodzi tutaj o ciebie, ani o mnie. I nawet nie o elektrownię. Elektrownię wybudowaliby i bez nas. I na pewno taką, jakiej jeszcze nie było. A ja, jak dawniej, cieszę się i jestem dumny z tego, że mam takiego ojca...

PODKOŁZIN: No, dobrze, dobrze. Nie stara-j się ułagodzić mnie. Przecież ja nie wierzyłem, że wybudujesz tę elektrownię i uruchomisz ją...

SERGIUSZ (uśmiechając się): No i jeszcze jej nie puściłem. Dopiero zamierzam...

(Z furtki wychodzi Niefiedow).

NIEFIEDOW: Sergiusz, tam cię proszą.

SERGIUSZ: W tej chwili. (Idzie do budynku).

PODKOŁZIN (do Niefiedowa): Przegonił mnie, mój synek, przegonił. Ale nie czuję żalu...

NIEFIEDOW: A jaki tu może być żal? Prze-cież to twój syn, wierne twoje odbicie. I charak-ter twój. Ale już jego stosunek do sprawy i spo-sób pracy zupełnie inny. Ty jak imperator. Wszy-stko sam z własnej głowy. Wszędzie sam i sam. I całą siłę czerpiesz tylko z siebie. A Sergiusz mnoży swoje siły przez siły wszystkich ludzi. Chce być razem ze wszystkimi na pierwszym miejscu. I tak właśnie trzeba. Po bolszewicku.....

PODKOŁZIN (w zamyśleniu): Ta-ak...

(Wchodzi Aniuta).

ANIUTA (do Podkołzina): Kuzmicz, ty prze-cież nic nie jadłeś. Chodź.

PODKOŁZIN: Kiedy nie chce mi się, Aniuto. Zdaje się, że znowu coś we mnie śpiewa. Jakbym odmłodził...

NIEFIEDOW: Wiadomo, że w walce i go-rączkowej pracy człowiek się odmładza.

(Wchodzi Waria ze swoją brygadą).

TONIA (biegnie do furtki, wybiega z powro-tem i zjawia się wraz z Dymkowem). Przecież mówiłam. Przecież mówiłam. Patrz, Waria już idzie. A elektryczność...

DYMKOW: Bardzo proszę, bez paniki. Chodź, pomożesz mi.

(Dymkow i Tonia wychodzą przez furtkę. Z furtki wychodzi Sergiusz. Idzie na spotkanie Warii i obejmuje ją).

WARIA (wyrывая się): Poczekaj. Poczekaj. A gdzie elektryczność?

SERGIUSZ: Zaraz będzie.

WARIA: To już od dawna słyszymy.

SERGIUSZ: Wkrótce zobaczycie. Oto Tonia wyrwała się do miasta, a miasto samo niedługo tutaj przyjdzie. Będzie klub i teatr i wszystko co trzeba. Żeby tylko ludzie byli tacy jak ty!

WARIA: Wiem, ty już wszystkich chwaliś. I Dymkowa, i nawet Tonię. To taki już twój spo-sób. Chytry....

SERGIUSZ: Dlaczego chytry? Uważam, że zawsze można pochwalić człowieka. To ty lubisz wszystko krytykować...

WARIA: A krytykować nie trzeba?

SERGIUSZ: Owszem, trzeba. Ale ważniejszą rzeczą jest pokazać człowiekowi to, co jest w nim dobre...

WARIA: Ty i Churchilla z początku chwaliłeś.

SERGIUSZ: I Churchill na początku był po-trzebny.

WARIA: Ale przyznaj się: zawiodłeś się na nim? Ja go od razu poznałam...

PODKOŁZIN (do Warii): Winszuję ci z po-wodu żniw, z całego serca. Zuch jesteś!

WARIA: I ja winszuję. (Objęła go i pocało-wała).

PODKOŁZIN (chcąc ukryć zadowolenie i zmieszanie, nachmurzył się i spojrzał na Sergiu-sza). A wy tutaj znowu zaczęliście się sprzeczać? Uważajcie...

SERGIUSZ (uśmiechając się): Ach, nie, ojcie. My już jakoś później się posprzeczamy. I znowu się pogodzimy. Ale ja ją Kocham...

WARIA (śmiejąc się): Przypuśćmy!

(W latarniach zapala się światło).

SERGIUSZ: Ach! Ach!

(Ale światło od razu gaśnie. I znowu się zapa-la, tylko świeci słabo. Wchodzą Kołchoźnicy. Pa-trzą na latarnie).

GŁOSY: A jednak pali się.

— No, a jak, musi się palić.

BUSZAKOW (kręci się koło nich): A nie wie-rzyliście, wąpiliście, mieliście pretensje. A teraz widzicie...

STARSZA KOŁCHOŹNICA: Ale słabo się świeci...

BUSZAKOW: To nic. Zaraz się poprawi.

SERGIUSZ (patrząc na latarnie, na ledwie za-rzające się pręciki lamp): Powoli, powoli, a nabie-rze siły. Dobrze jest. Coraz lepiej i szybciej daje-my sobie radę. Przecież starą elektrownię budo-wano przeszło rok. I była mała. A teraz, o, ja-ką postawiliśmy w tak krótkim czasie. Co prawda nie ma się czemu dziwić.

NIEFIEDOW (nagle przerywa): Nie, Sergiu-szu, właśnie że jest się czemu dziwić. Tylko chy-ba nie umiemy się już dziwić. Często patrzę na traktor i wspominam sochę. Przecież niedawno jeszcze mówiono: „chłop od sochy“. To znaczy prawdziwy chłop. A teraz, jakież to jest ten praw-dziwy chłop od kombajnu, traktora, takiej elek-trowni. Wielkim człowiekiem stał się teraz chłop! I jaki wielki świat jest dokoła niego! A przecież ja jeszcze pamiętam łuczywo. Pamiętam jak trzaska-ło w nocy, wokoło było ciemno, ciemno. W całej Rosji było ciemno. Nie, to wszystko jest bardzo dziwne. Tylko my tak szybko żyjemy i tacy je-steśmy zajęci pracą, że nie mamy się czasu dziwić.

(Pręciki w latarniach stają się coraz jaśniejsze. I nagle wybucho jasne światło. Przytknąwszy dłoń

do czoła, wpatruje się w dal). Jak daleko widać!
Cały wielki świat, jak na dłoni. Ach, jak nie chce
się umierać...

PODKOŁZIN: I nie trzeba. Po co umierać?
Jeszcze wielu rzeczy dokonamy!....

(Światło zapala się wciąż w nowych latarniach.
Wraz ze światłem narasta pieśń, cicho płynąca
z dali).

Kurtyna



OBJAŚNIENIA I WSKAZÓWKI

„Wielki świat“ jest obrazkiem z powojennego życia kolchozu, którego wszystkie dążenia i pragnienia skupiają się wokół zagadnienia jak najszybszej odbudowy, co ułatwi pracę i życie samemu kolchozowi i zapewni jak największą wydajność pracy kolchozu, co przyczynia się do podniesienia dobrobytu całego kraju. Idee te są bliskie i jasne dla wszystkich członków kolchozu, lecz rozumienie ich realizacji bywa tak różne, jak różni są ludzie. Najsilniej zarysowują się te różnice między ojcem i synem Podkołzini. Ojciec reprezentuje dawny, stary sposób myślenia — kierowania, prowadzenia ludzi ku dobrej sprawie, nawet wbrew nim samym. Czuje się wodzem gromady. Inaczej syn. Młody Podkołzin uznaje pracę naprawdę socjalistyczną, zbiorową, gdzie każdy na swoim odcinku wspólnej sprawy, wykonuje swoje własne zadanie, a całość składa się z poszczególnych prac, jak budowla z poszczególnych cegiełek. I to jest najistotniejszym sensem pracy pojętej socjalistycznie.

Sztuka uderza, charakterystycznym dla autorów radzieckich, wielkim realizmem. Mamy w niej ludzi żywych, prawdziwych, nie koturnowych herosów i bohaterów. Dążą oni wszyscy do wielkich idei, lecz nieraz błędzą i zbaczają z właściwej drogi na skutek ułomności natury ludzkiej.

Tę głęboką wartość realizmu trzeba grą wydobyć i podkreślić. Aktorzy muszą dobrze zrozumieć i wczuć się w sylwetki wewnętrzne przedstawianych postaci i grać tak, aby widz został przekonany, istotnie doznał wrażenia, że uchylona kurtyna ukazała mu sceny z prawdziwego życia prawdziwych ludzi. Należy unikać wszelkiej sztuczności, patosu. Potraktować przedstawienie realistycznie.

Stroje: wiejskie, codzienne ubrania robocze. Dobrze byłoby jednak podkreślić miejsce sztuki — Związek Radziecki, charakterystycznymi, rosyjskimi koszulami. Są to białe, płócienne koszule haftowane krzyżykami na stojącym kołnierzyku i wzdłuż zapięcia u mężczyzn i na ramionach u kobiet. Hafty takie doskonale malują się na płótnie wodnymi farbami, potem można zeprać je bez śladu.

Wszystkie postacie sztuki są pozytywne i należy traktować je poważnie, jedynie Samcow jest postacią komiczną. Jego błędy nie wynikają ze złego charakteru, raczej z głupoty i ograniczenia.

Tempo gry niezbyt szybkie, lecz zwarte.

H. N. B.

ŚNIEŻEK

Sztuka w 3 aktach, 6-ciu odsłonach
(w przekładzie Marii Górskiej).

O s o b y:

TOMPSON: Dyrektor gimnazjum — lat 40.

JACK TUCKER: wychowawca i nauczyciel biologii.

MISS FELLER: nauczycielka historii — wiek nieokreślony.

MISS JOON: bibliotekarka, lat 23.

DICK (przezwany Snieżek): chłopak murzyński.

CHARLIE (przezwiseko Bucz-Urwis).

JOHN

MARY

BETTY

DAVY

JANE

MARJORE

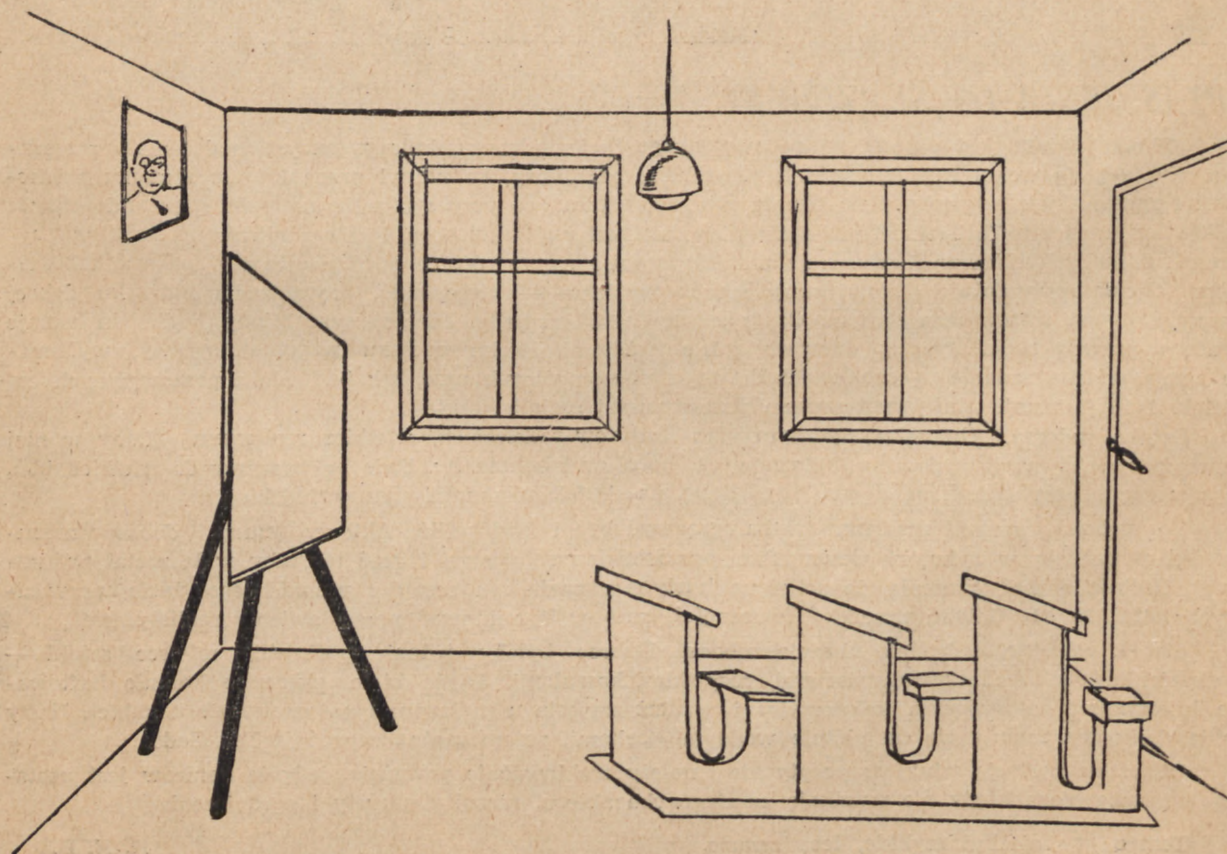
Uczniowie szkoły średniej
w wieku 14—15 lat.

ANGELA BIDDLEE (dziewczynka, która przyjechała ze Stanów Południowych Ameryki).

HENRY BIDDLEE: Ojciec Angeli, bogaty przemysłowiec, lat 50.

POLICJANT.

Akcja toczy się po wojnie w miasteczku amerykańskim.



Akt I.

Odsłona pierwsza.

Klasa. Na ścianie portret Roosevelta, mapa obu półkul. W pustej klasie siedzą odwrócenii do siebie plecami Dick i Charlie. Dick wyjmując z kieszeni harmonijkę i gra. Charlie obserwuje go z boku.

CHARLIE (mówi w przestrzeń): Do diabła, kiszki mi marsza grają. Chętnie bym coś zjadł. (Dick milczy i gra dalej). Ale ani mi się śni byle kogo przeproszać.

(Przez otwarty lufcik wpada paczuszka. Charlie szybko ją podnosi i rozczarowany czyta przypiętą do paczuszki karteczkę: „Dla Dicka Dempsey“, rzuca paczuszkę na stół. Dick odwija papier, wyjmując kanapkę i duże jabłko. W tej samej chwili wpada oknem druga paczuszka. Charlie znów rzuca się ku niej i w najwyższym zdenerwowaniu odczytuje: „Dla Śnieżka“, rzuca paczuszkę na stół).

DICK (powoli rozwija paczuszkę i układa jej zawartość razem z poprzednią: pasztecik i banan. Wszystkie te specjalności Dick dzieli na dwie równe części): Oczywiście, że ja ciebie przeproszać nie mam za co. Zachowałeś się po prostu jak świnia. Jeśli się jeszcze będziesz puszył jak indor, to przy najbliższej okazji sprawię ci porządne lanie. Masz, bierz swoją część! Bucz!

CHARLIE: Obejdę się!

DICK: Doprawdy? (Je z apetytem).

CHARLIE (łyka ślinkę): Znajdą się przyjaciele i podrzucą mi coś jeszcze lepszego do zjedzenia.

DICK: Pasztecik z cebulką — to naturalnie Betty. Tylko jej babcia potrafi tak pysznie przypiekać skórkę, żeby była chrupiąca. A co się ty czy przyjaciel, chyba się naocznie przekonałeś, że mam ich więcej, niż ty. Nie mówię tego do ciebie, bo nie chcę z tobą rozmawiać, mówię ot tak, w powietrze... (Je).

CHARLIE (dręczy go głód): Od byle kogo nie będę nic brał!

DICK: Nie pyskuj!

CHARLIE (niespokojnie chodzi po klasie, rzucając łakome spojrzenia na rozłożone przysmaki): Chyba do końca świata nas tu przetrzymają.

DICK: Mniej więcej. Mecz wyznaczony jest na piątą. Komisja eliminacyjna zadecyduje, kto z naszej klasy wejdzie do zespołu.

CHARLIE: Muszę grać na tym meczu. Mam nie mniejsze szanse niż ty.

DICK: Z naszej klasy chyba nikt nie wejdzie.

CHARLIE: Tak czy inaczej, na pewno przed byle Śnieżkiem tłumaczyć się nie będę.

DICK: Nie pyskuj! (Je dalej. Charlie chodzi tam i z powrotem, podchodzi do stołu, waha się przez moment, chwytając pasztecik i chciwie zaczyna polykać odłożoną przez Dicka porcję): W porządku Bucz! A, teraz mnie przeproś!

CHARLIE (wojowniczo): Ja? Ciebie?

DICK: Tak. Ty — mnie.

CHARLIE: Bucz — Śnieżka?

DICK: Tak. Bucz — Śnieżka.

CHARLIE: Cha — cha — cha — cha!

(Za oknem ukazuje się głowa Johna).

JOHN (nawołując szeptem): Hallo, chłopaki!

DICK: John!

JOHN: Wpuście mnie. Dlaczego zamknęliście okno?

DICK: To nie my, to dyrektor. Żeby było jak w więzieniu.

JOHN: Otwórzcie! Jesteśmy całą delegacją.

DICK: Nie trzeba oszukiwać dyrektora Tompsona. Zasłużyliśmy na karę i musimy cierpieć.

CHARLIE: Głupstwo. Otwieram. Chyba nie tak prędko przyjdzie. (Otwiera okno. Przez okno wchodzi do klasy John, Betty, Mary i Jane).

JOHN (rozglądając się): Dlaczego klasa, którą człowiek zna aż do najdrobniejszych szczegółów, gdy cię w niej zamkną za karę nabiera od razu jakiejś tajemniczości?

BETTY: Boję się! Wszystko przez ciebie, John! „Wejdźmy i wejdźmy“! A co będzie, jak nas tu dyrektor przyłapie?

JOHN (przeżonym szeptem): A co będzie jak tu nam się duch ukaże? (Betty ogląda się przeżona). Nie bój się, staruszek! Zresztą przecież właśnie ty sama najbardziej nalegałaś, że są głodni i że trzeba do nich zajrzeć.

BETTY: Bo na pewno są głodni. Bardzo mi ich żal

JANE: Cicho, zobaczycie jak oberwiemy.

DAVY: Myślę, że trzeba uciekać, póki czas.

CHARLIE: Milcz, Davy! Ach, ty tchórz! (Groźnie przystępuje do niego).

JOHN: No, no, Bucz! Wolnego! Chłopak po zapaleniu płuc. Możesz się ze mną spróbować, jeśli chcesz. (Charlie puszcza Davy'ego).

MARY: Uważajcie! Na schodach stoi miss Feller. Na pewno coś zwąchała.

JANE ze strachem): Miss Feller! Przepadliśmy!

JOHN: Musimy szeptać, a nie drzeć się jak wariaci. Nie podchodźcie do okien. Siadajcie! Jesli do godz. pół do piątej ukarani nie zostaną zwolnieni, Komisja Eliminacyjna skreśli naszych kandydatów z listy.

BETTY (z przejęciem): Nie możemy do tego dopuścić!

MARY: Honor szkoły! Honor klasy! Rozumiecie! To jest niemożliwe! Prawda, John? Muszą się przeprosić. Mister Tompson jest sprawiedliwym człowiekiem.

BETTY: Najsprawiedliwszy człowiek pod słońcem!

DAVY: I ty to nazywasz normalnym ludzkim szeptem?

JOHN: Koledzy! Klasa proponuje, aby winowajcy zakończyli konflikt. Co się tyczy mojej osoby, gotów byłbym w każdej chwili prosić dyrektora o przebaczenie. Chyba wiecie dlaczego?

JANE: Naturalnie. Wiemy wszyscy. To taki wspaniały człowiek.

JOHN (do Dicka i Charlie): A więc, chłopaki: pokój? Delegat pójdzie do dyrektora z prośbą o przebaczenie. A potem? Wolność! I mecz o godzinie piątej! I nasz kolega w zespole drużyny szkolnej!

DICK: Przecież dyrektor nie chce, żebyśmy prosili jego o przebaczenie, ale żebyśmy się nawzajem przeprosili i uścisnęli sobie ręce jak prawdziwi przyjaciele. Uprzedzam was wszystkich, że ja za nic w świecie nie podam Charliemu ręki, dopóki mnie nie przeprosi.

CHARLIE: Za wiele żądasz, Śnieżku!

BETTY: Wiem dlaczego Bucz, chociaż zawiął, nie chce przeprosić Śnieżka. Wiem...

JANE: Dlaczego? Powiedz.

BETTY (uparcie): Wiem! I pamiętaj, Dicku, jeżeli ośmielisz się pierwszy podać mu rękę, nie masz poczucia godności...

DICK: Nie martw się, Betty, nie uczynię tego, bądź spokojna...

MARY: Ale dlaczego? Co się stało?

DICK: Bo ja jestem Śnieżek, miss Mary.

MARY: Nie warto o tym mówić, Dicku.

JOHN: Zgoda. Nie mów nic, Dicku, bo go-tów jestem własnoręcznie tak wytłuc Charli'ego, że na całe życie popamięta. Słuchajcie, musimy znaleźć wyjście z tej sytuacji. Proponuję prawdziwie sportowe rozstrzygnięcie zatargu. Niech decyduje walka na pięści. Pokonany prosić będzie o przebaczenie.

MARY: Bardzo dobrze.

DICK: Ja nie będę.

JOHN: Nie sprzeciwiaj się, Śnieżku! Tak będzie sprawiedliwie. Prócz honoru własnego istnieje jeszcze honor klasy.

DICK: Trudno. Jeżeli dla klasy, zgadzam się.

CHARLIE: Zróbcie miejsce. Ile rund?

JOHN: Dwie. Jak wypadnie na remis, trzecia runda decyduje.

(Charlie i Dick nakładają rękawice, stają na przeciw siebie i na dany znak rozpoczynają walkę. Młodzież bardzo jest podniecona przebiegiem walki, dopinguje walczących okrzykami: Wal go! Wal go! Fanga. W nos! W nos! Szanse są na razie równe. W pewnym momencie Dick pada).

JOHN (nad Dickiem: Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... (Dick podnosi się. John daje znak i walka toczy się dalej. Przewaga tym razem po stronie Dicka. Na skutek mocnego ciosu Charlie pada). Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć... Aut! (Na znak zwycięstwa unosi w górę rękę Dicka).

WSZYSCY: Niech żyje Śnieżek!

(Dick odchodzi od Charliego, Charlie podnosi się z trudem).

CHARLIE: Teraz tyś górą, Śnieżku, ale następnym razem...

JOHN: Tak, Śnieżek wygrał, ale ty też mowrowo walczyłeś, Bucz! Prawda.

BETTY: Ale Dick lepiej.

JOHN: Tym razem lepiej, ale nie wiadomo jak będzie następnym. Może Charlie będzie lepszy. Charlie, czy pamiętasz jaka była umowa?

CHARLIE: Nie mogę!

JOHN: No wiesz, to już doprawdy świństwo...

CHARLIE: No, dobrze. Chodź tu, Dicku Dempsey. Niech wszyscy słuchają. Stale cię ostatnio zaczepiałem, a dziś porządnie cię nawet stuknąłem. Dlatego że... dlatego że...

JOHN: W porządku! Możesz nie mówić dlaczego. Wszyscy wiemy. Nawet wstyd o tym mówić. Prosisz o przebaczenie?

CHARLIE: Kiedy taka była umowa, ja jako sportowiec, zmuszony jestem...

DICK: Dyrektor takich przeprosin nie uzna!

CHARLIE: Więc co? Mam może na kolana upaść przed tobą, szanowny panie Śnieżku?

DICK: Nie pyskuj!

BETTY: Zaraz się znów pobiją.

JOHN: Więc! Charlie?!

(Wchodzi przez nikogo nie zauważony dyrektor Tompson).

CHARLIE: Więcej nie będę, Dick. Masz moją rękę.

(Dick ściska wyciągniętą dłoń Charliego i w tej samej chwili dostrzega dyrektora).

JANE (przeżona): Dyrektor! (Dzieci, prócz Dicka i Charliego, chowają się pod ławkami).

DYREKTOR (spokojnie): Mówiłem wam przeciw, że przyjdę do klasy w tej samej chwili, gdy uściśnięcie sobie ręce. Jesteście wolni. (Pokazuje na młodzież ukrytą pod ławkami). Nie pragnę wiedzieć jak to się stało, że zamiast dwóch widzę tylu uwieczonych. Ale chcę wiedzieć, kto otworzył okno, które ja sam zamknąłem.

(Charlie i Dick mierzą się spojrzeniami, Charlie cofa się tchórzliwie).

DICK: Panie dyrektorze, to ja otworzyłem okno.

DYREKTOR: Już drugie przewinienie w ciągu jednego dnia. Za karę pozostaniesz jutro po lekcjach na dwie godziny. (Odchodzi).

JANE: To Charlie przecież otworzył okno, a nie Dick.

DAVY: Dlaczego się nie przyznałeś, Charlie?

MARY: Bucz stracił odwagę.

JOHN: Zostaw go, Mary. Ale Śnieżek zuch!

CHARLIE (zmieszany): Nigdy ci tego nie zapomnę. Dziękuję ci Dicku.

JANE: Jak to miło, kiedy klasa jest w zgodzie. Tak jakoś człowiekowi lekko i przyjemnie.

(Drzwi otwierają się, wchodzi miss Feller, a za nią dziewczynka).

MISS FELLER: Jeszcze jesteście tu? Doskonale. Jesteście mi potrzebni. Macie nową koleżankę. Przybyła do nas z Południa ze stanu Georgia. Proszę poznać się. Nazywa się Angela Bidlee.

DICK: Angela! Jak dobrze pasuje do niej to imię! Spójrzcie! Wygląda jak prawdziwy anioł. Witaj, Angelo!

(Angela cofa się przed wyciągniętą dłonią Dicka).

Kurtyna.

Odsłona druga.

Mieszkanie Bidlee'a. Bidlee siedzi przy stole z córką Angellą.

ANGELA: Muszę
BIDLEE: Słucham
ANGELA: Nie mo-
pa! To jest ponad moją
li opuszczać Południa.

BIDLEE: Wymaga-
chanie. Przeprowadzając
dziczysz miliony.

ANGELA: Tak? Ty
dać miliony, ale czy ty
zrobić, żeby mnie uwie-

BIDLEE: Ależ mo-
niać praw. Do miejskie-
szczać biali i kolorow-
szkół prywatnych. A
w następnym półroczu
niała. Tymczasem mus-

ANGELA: Gdyby
dzieli tak blisko. Dośle-
ją się bezczelnie loko-
umieją dobrze zadane
miejsca są na samym
I w dodatku ten dyre-
brze ich traktuje.

BIDLEE: Masz pr-
reczko. Zaprzyjajnij s-
mi uczniami, zaprosić ic-
już sama się zrobi.

ANGELA: Już zap-
przyjdą dziś. Charlie'go
sznym urwisem i z ws-
tuś jest adwokatem

ANGELA: Muszę z tobą pomówić, pa.

BIDLEE: Słucham cię, moje dziecko.

ANGELA: Nie mogę chodzić do tej szkoły, pa! To jest ponad moje siły. Nie powinniśmy byli opuszczać Południa.

BIDLEE: Wymagały tego moje interesy, kochanie. Przeprowadzam tu wielki interes. Odziedziczyś miliony.

ANGELA: Tak? To bardzo przyjemnie posiadać miliony, ale czy teraz, zaraz nie możesz coś zrobić, żeby mnie uwolnić od upokorzeń?

BIDLEE: Ależ moje dziecko, nie mogę zmieniać praw. Do miejskiej szkoły mają prawo uczęszczać biali i kolorowi. W tym mieście nie ma szkół prywatnych. Ale daję ci moje słowo, że w następnym półroczu taka szkoła będzie już istniała. Tymczasem musisz być cierpliwa.

ANGELA: Gdyby chociaż ci czarni nie siedzieli tak blisko. Dosłownie tuż obok. Rozpychają się bezczelnie łokciami, śmieją się i zawsze umieją dobrze zadane lekcje. Na południu ich miejsca są na samym końcu, za barierą, a tu... I w dodatku ten dyrektor Tompson... zbyt dobrze ich traktuje.

BIDLEE: Masz przecież sprytną główkę, córeczko. Zaprzyjaźnij się z najbardziej popularnymi uczniami, zaprosz ich do nas z wizytą, a reszta już sama się zrobi.

ANGELA: Już zaprosiłam, pa! Mary i Charlie przyjdą dziś. Charlie'go przezywają Bucz. Jest straszonym urwisem i z wszystkimi zaczyna... Jego tatuś jest adwokatem. Myślę, że on nie lubi czar-

nym, bo Dick Dempsey, przezywają go Śnieżek, jest mistrzem szkoły i pokonał Bucza. A Charlie marzył właśnie o tym, żeby zostać mistrzem.

BIDLEE: To doskonale się składa.

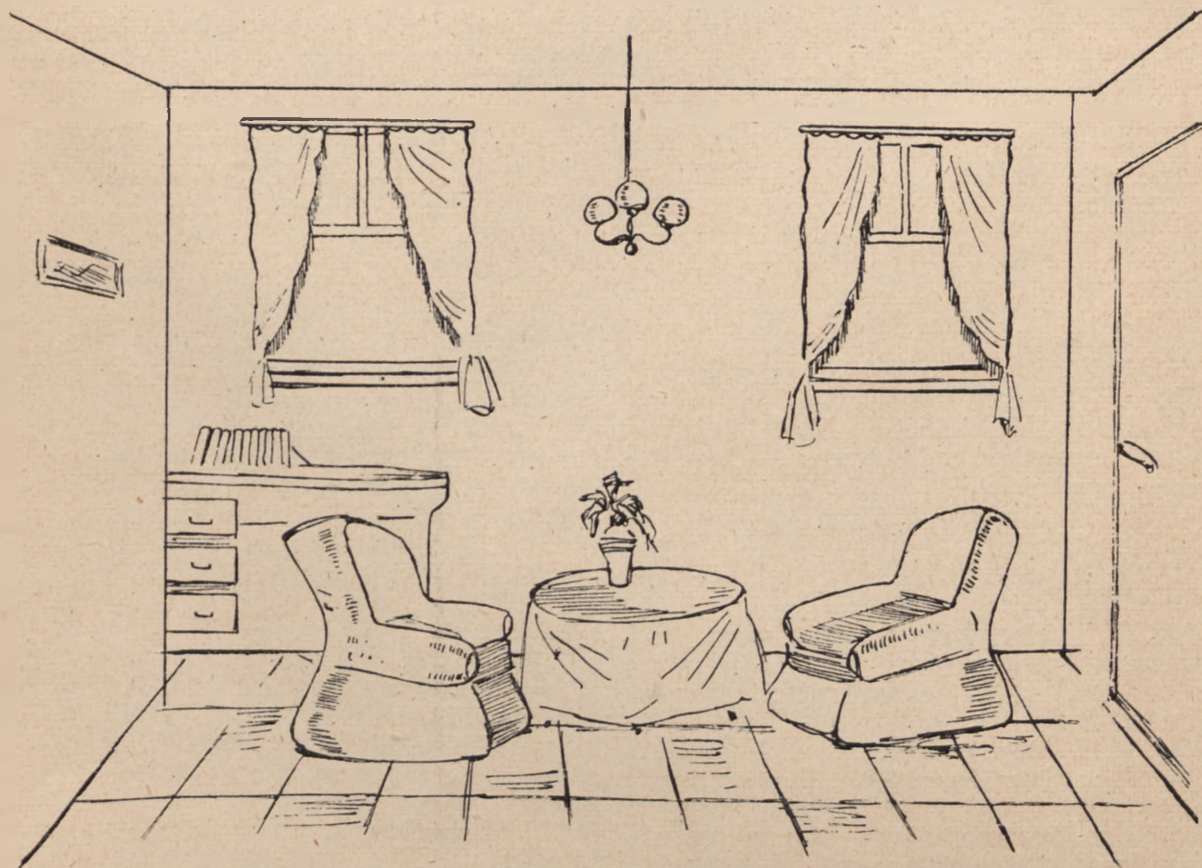
ANGELA: Ale najważniejszy z nich wszystkich jest John. Bożyszczę klasy. Nie możesz tego sobie nawet wyobrazić! Rozumiesz, papciu, co John powie, to święte dla całej klasy. A taki jest śmiały i prawy, że go się aż boję.

BIDLEE: Należałoby przede wszystkim jego sobie zjednać. Będzie wszystko dobrze, jeśli wspólnymi siłami zabierzemy się do twoich szkolnych spraw. Zadzwoń do waszego dyrektora. (Dzwonek). Przyszedł ktoś. Niech Edith otwórz.

ANGELA: Otworzę sama. Może to ktoś do mnie. (Odchodzi).

(Bidlee przez pewien czas milczy, następnie podnosi słuchawkę i nakręca tarczę telefonu).

BIDLEE: Hallo! Tu Członek Rady Opiekunskiej, Bidlee, poproszę dyrektora Tompsona... Dzień dobry mister Tompson! Tak, tak... Chciałbym się z panem spotkać. Mam mnóstwo interesujących propozycji — na temat polepszenia warunków i położenia szkoły. Bardzo byłbym rad, gdyby mnie pan zechciał odwiedzić. Tak?... Pan woli, żebym przyszedł do pana? Hm. Jestem bardzo zajęty, prowadzę olbrzymie interesy... No, tak, tak. Naturalnie... Rozumiem. Pan również bardzo zajęty... Tak! Hm! Więc na kiedy pan wyznacza nasze spotkanie, panie dyrektorze? W czwartek o drugiej? A czy nie mógłby pan,



no, powiedzmy, w śróde o szóstej? Niemożliwe? Hm. Tak... No to zgoda. Będę u pana w czwartek o drugiej punktualnie. Moje uszanowanie.

(Ze złością odkłada słuchawkę. Do pokoju wchodzi Angela, prowadząc ze sobą Mary, Charliego i zażenowanego Davy).

WSZYSCY: Dzień dobry, mister Bidlee!

BIDLEE: Dzień dobry. Dzień dobry!

MARY: Widzisz, Angelo, sprowadziłam ci całą paczkę. Davy'ego musieliśmy ciągnąć, jak ciele na rzeź.

CHARLIE: Davy wstydzi się swoich artystycznie połatanych spodni.

MARY: Jak ci nie wstyd, Charlie? Gdyby twój ojciec został zredukowany, nie byłbyś też takim elegantem.

ANGELA: Ach, tak? Biedny Davy! Twój ojciec jest zredukowany? Ale to nic strasznego. Zaraz mu dam pracę. Powiem tylko jedno słówko mojemu pa. On mi nigdy niczego nie odmawia. Prawda pa?

BIDLEE: Naturalnie, kochanie.

DAVY: Strasznie dziękuję. Powiem to w domu. Strasznie dziękuję.

BIDLEE: Bardzo dobrze, żeście do nas przyszli. Ange nie ma tu jeszcze przyjaciół. Powinicie przyjąć ją do swego grona.

MARY: Z przyjemnością.

BIDLEE: Doskonale! Siadajcie! (Wszyscy siadają). No i co, moi drodzy, czy szkoła ma swój własny plac sportowy?

DAVY: O nie. Musimy korzystać z miejskiego stadionu, ale niestety, zawsze jest zajęty wtedy gdy nam jest potrzebny.

BIDLEE: Ale szkoła posiada chyba porządną drużynę futbolową?

CHARLIE: Tak, mister Tompson. Co z tego, kiedy nie mamy gdzie trenować.

BIDLEE: Więc wiedzcie, że wkrótce będziecie mieli własny stadion.

WSZYSCY: Jak to? Kiedy?

BIDLEE: Już wkrótce. Choć szkole zrobić prezent. Biorę na siebie budowę szkolnego stadionu. Jeszcze w tym sezonie będziecie przyjmować u siebie jako gospodarze inne drużyny piłki nożnej.

CHARLIE: Ach — to będzie morowo!

BIDLEE: Jeszcze coś nie coś obmyślimy. Przychodźcie tylko częściej do Angeli. Będziemy się wspólnie naradzać nad potrzebami szkoły. Do widzenia, przyjaciele!

WSZYSCY: Do widzenia!

(Bidlee odchodzi).

MARY: Angelo! Jakiego masz nadzwyczajnego ojca!

ANGELA: Poczekamy może na resztę gości, a tymczasem porozmawiamy sobie. Ale proszę was, siadajcie. Czy są w tym mieście porządne księgarnie?

CHARLIE: Mogę ci polecić trzy, ale najlepsza jest na ulicy Quen Street 48. Tam są zawsze ostatnie nowości. Wybór nadzwyczajny. Kupiłem niedawno: „Zabójcę i jego prześladowców“, „Ofiarę losu“ i „Kobietę-wampa“.



ANGELA: To bardzo emocjonujące.

CHARLIE: Najbardziej podniecające jednak jest kino. Wywiadowca Thomps jednym uderzeniem pałki zabija gangstera Jamesa — „Maleństwo“. Dwanaście razy oglądałem ten sam film.

ANGELA (do Mary): Czy jesteś pewna, że John przyjdzie?

MARY (wzruszając ramionami): Obiecał zrobić to dla mnie... Jesteśmy przecież w wielkiej przyjaźni... w wielkiej...

ANGELA: Zauważyłam to. (Po chwili). Mary, chcesz być moją najlepszą przyjaciółką?

MARY: Najlepszą? Z przyjemnością. Jeśli sobie tego życzysz.

ANGELA: To cudownie! (Całują się).

(Wchodzi John. Widzi, że obie dziewczynki się całują. Zdenerwowany).

MARY: O, przyszedł John!

ANGELA: Witam. Prosimy do nas.

JOHN: Razem ze mną przyszli jeszcze inni, ale wasza służąca nie chciała ich wpuścić.

ANGELA: A kto jeszcze?

JOHN: Dick i Betty.

ANGELA: Mary, czyżbyś ich tu do mnie zaprosiła?

JOHN: To ja zaprosiłem Snieżka i Betty. Zawsze chodzimy razem. Więc jak? Długo będą stać za drzwiami?

ANGELA: Myślę, że długo. Edith nigdy nie dopuści, aby czarni przestąpili próg naszego domu.

(John gwałtownie robi w tył zwrot i idzie ku drzwiom).

MARY: John! Wróć się! John!

JOHN: Mówiłem ci, Mary, że nie powinienem przychodzić do tego domu. Chodźmy stąd.

MARY: Tak nie można, John. Należy być uprzejmym.

JOHN: Bądź więc uprzejma i całuj się z gospodynią. Ale uprzedzam cię, że będziesz musiała wybierać: albo przyjaźń całej klasy, albo jej. Ja — albo ona.

MARY: Dlaczego?

JOHN: Trzeba ci to jeszcze wyjaśnić? Do prawdy?! (Odchodzi).

ANGELA: Proszę na herbatę.

CHARLIE: Dokąd to, bohaterze?

DAVY: Zostaw mnie, Bucz! Jak śmiesz?

ANGELA: Dlaczego odchodzisz, Davy? Czy ktoś cię obraził?

DAVY: Obrażają tu moich przyjaciół. (Odchodzi).

ANGELA: Tak, to nawet lepiej. Zostaliśmy w ścisłym gronie. Będziemy się świetnie bawili. (Z groźbą). A oni jeszcze... pożałują...

Kurtyna.

Koniec aktu pierwszego.

Akt II.

Odsłona trzecia.

Gabinet dyrektora szkoły. Biurko, kanapka, półki z książkami. Za sceną muzyka sportowa. Wchodzi dyr. Tompson, za nim Dick i John — obaj w kostiumach gimnastycznych, z emblematami szkoły „FR.” na koszulkach.

DYREKTOR: Proszę, gentlemen. Jestem zadowolony. Nasza drużyna w zupełności zasłużyła sobie na owacje. Jesteś zuch, Dicku!

JOHN: Nie wszyscy tak myślą, mister Tompson!

DYREKTOR: Nie wszyscy? A kto myśli inaczej?

JOHN: Angela Bidlee. Ona uważa, że Dick nie powinien być w drużynie.

DYREKTOR: A dlaczego Angela tak myśli? Czyście się posprzeczali, Dicku? Milczysz?

DICK: Jestem Śnieżek, mister Tompson.

JOHN: Ona chce go wygryźć z klasy, mister Tompson.

DICK: Przepędzić nas — mnie i Betty i innych takich jak my za barierę, na ostatnią ławkę, na najgorsze miejsca... jeżeli pan jej na to pozwoli.

DYREKTOR: Nie, nie pozwolę.

JOHN: My wiemy, mister Tompson! Wszyscy mówią. (Zmieształ się)... wszyscy... dla pana dyrektora... no nie wiem... wszystko co pan chce... bo pan dyrektor zawsze z nami, nie wiem... nie potrafię tego powiedzieć, o mister Tompson!

DYREKTOR: Ho, ho! Nie wiedziałem, że takiego dobrego macie dyrektora. Ale nie wyobrażajcie sobie, że możecie robić absolutnie wszystko, co wam przyjdzie do głowy, a już dyrektor na wszystko pozwoli.

JOHN: Co też pan mówi, mister Tompson. Wszyscy dobrze wiedzą, że w razie czego... nie spodziewaj się litości.

(Za sceną wołanie kolegów: „John! Dick!”).

DYREKTOR: Idźcie chłopcy! Idźcie już. Nie mogą się was tam doczekać.

DICK: Do widzenia mister Tompson!

JOHN: Do widzenia mister Tompson!

DYREKTOR: Do widzenia! (John wychodzi, Dick się zatrzymuje). Nie denerwuj się Dicku i ucz się nadal tak, jak dotąd.

DICK: Jestem Śnieżek, mister Tompson.

DYREKTOR: Co z tego?

DICK: Mój dziadek był woźnym, ojciec — tragarzem, matka — pomywaczką, stryj — wiodziarzem. Kto przeklął nasz naród? Dlaczego musimy zawsze uginać karku i wiecznie służyć. Choć się kształcić. Pragnę zostać chirurgiem. Dobrym chirurgiem. To taki piękny zawód. Chcę być doktorem, mister Tompson.

DYREKTOR: Będziesz, Dicku, chociaż to bardzo trudne. Nie wierz ludziom, którzy wam wmawiają, że niedostępne są dla was wzniosłe myśli i uczucia. Naród twój jest mądry, uzdolniony, dał światu wielkich uczonych, myślicieli, artystów, muzyków, aktorów, i ty również, Dicku, ucz się. Spójrz jakie subtelne, a zarazem mocne masz palce. Możesz śmiało zostać chirurgiem. Pomogę ci. Na pewno pomogę.

DICK: Mister Tompson... Z całego serca dziękuję... Pójdę... Powiem Betty... Ona tak się denerwuje...

DYREKTOR: Do widzenia, Dicku!

DICK: Do widzenia, mister Tompson!

(Dick odchodzi. Pukanie do drzwi. Wchodzi mister Bidlee).

BIDLEE: Dzień dobry, mister Tompson.

DYREKTOR: Dzień dobry, mister Bidlee!

Chciał się pan ze mną zobaczyć, podobno w sprawach prywatnych.

BIDLEE: Nie, zatrzymam pana długo. Tak jest. Mam do pana prywatną sprawę. Otóż córka moja skarży się, że w pańskiej szkole traktują ją źle.

DYREKTOR: Kto ją źle traktuje, jeżeli można wiedzieć, mister Bidlee?

BIDLEE: Niektórzy uczniowie.

DYREKTOR: A może pańska córka poszuka przyczyny takiego traktowania w swoim własnym charakterze?

BIDLEE: Pragnę uwolnić moją córkę od tego. Proszę, żeby pan zainteresował się życiem klasy i...

DYREKTOR: Ja, widzi pan, uważam, że młodzież powinna sama rozwiązywać własne konflikty i jak dotychczas przynosiło to doskonałe rezultaty. Osobiście ingeruję tylko w wypadkach wyjątkowych.

BIDLEE: W tym wypadku, proszę i nalegam, żeby pan zastosował energiczne środki... Żądam, żeby pański pupilek, nie wiem jak go tam przezywają, przeniesiony został na inną ławkę.

DYREKTOR: Śnieżek?



BIDLEE: Tak, zdaje się, że przezywają tego czarnego Śnieżkiem. Niech pan swojego Śnieżka i jego współplemieńców przesadzi na tylne miejsce, za barierę.

DYREKTOR: Dlaczego mam obrażać tego pod każdym względem dobrego chłopca? Dlatego, że jest Murzynem! Nie zrobię tego. Dałem słowo mojemu uczniowi, Dickowi Dempsey, że nikt nie ośmieli się w mojej szkole przeszkodzić mu w spokojnym zdobywaniu wiedzy.

BIDLEE: Mister Tompson, pan jest niebezpiecznym człowiekiem. Niebezpiecznym dlatego, że potrafi pan swoim uczniom zaszcześcić szkodliwe i zbędne ideały. Powiem panu otwarcie. Jestem zavalony interesami i nie zamierzałem zajmować się sprawami szkoły. Córka moja uskarżała się na złe traktowanie i chciałem osiągnąć tylko tyle, żeby jej dać zadośćuczynienie. Ale natknąłem się na pana. Otóż stwierdzam, że nie jest pan odpowiednim człowiekiem na stanowisko dyrektora szkoły.

DYREKTOR: Tak pan sądzi, mister Bidlee?

BIDLEE: Tak. Chce pan wychować pańskich uczniów na ludzi o nastawieniu antypaństwowym.

DYREKTOR: Pragnę wychować moich uczniów na prawdziwych uczciwych Amerykanów, którzy nie będą musieli wstydzić się przed całym światem za swoją ojczyznę.

BIDLEE: Nie pozwolimy, żeby w szkole wypaczali charaktery naszych dzieci! Będziemy je

wychowywać na prawdziwych Amerykanów. Począwszy od dnia dzisiejszego szkoła stanie się dla mnie najpilniejszym z moich interesów. Jeżeli jutro Dick Dempsey i wszyscy inni czarni nie będą przesadzeni za barierę — pożałuje pan swojego uporu. Proszę się zastanowić, póki jeszcze nie jest za późno, mister Tompson. (Odchodzi).

(Dyrektor opuszcza głowę, głęboko zamyślny. Wchodzi miss Joon).

JOON: Mister Tompson... Może przeszkadzam?

DYREKTOR: Nie, miss Joon. Proszę, niech pani spocznie.

JOON: Co się stało, mister Tompson? Taki pan zdenerwowany.

DYREKTOR: Ten Bidlee chce, żeby w naszej szkole stało się coś bardzo złego.

JOON: Złego?

DYREKTOR: Chce wywołać nienawiść białych dzieci do czarnych. Chce zabić i zniszczyć dobre stosunki i uczucia, które oboje wpajaliśmy im z taką cierpliwością i uporem przez tyle lat.

JOON: Nie pozwolimy na to, dyrektorze?

DYREKTOR: O tak, gdybyśmy nie byli odosobnieni i stanowili większość w naszej szkole.

JOON: Będziemy na pewno.

DYREKTOR: Co pani myśli o Tuckerze, miss Joon? Czy przypomina sobie pani ten wypadek z Dorotą Kornel, która chciała się utopić? Tak jej dokuczali, tak się jej czepiali. I właśnie Tuc-

ker zapewniał mnie wówczas, że to zwykle igraszki szkolne, nieporozumienia, na które nie należy zwracać uwagi. A przecież Tucker był wtedy wychowawcą klasy, w której była Dorota Kornel? W klasie, która dotychczas służyła za przykład zgody i koleżeństwa, od pewnego czasu dostrzegam wrogość białych dzieci w stosunku do czarnych.

JOON: Nie możemy do tego dopuścić! Prawda zawsze zwycięża, a prawda jest po naszej stronie, mister Tompson! (Tompson uśmiecha się). Dlaczego się pan uśmiecha? Czy nie mam racji? Czy może zatriumfować zło?

DYREKTOR: Ależ na pewno zatriumfuje dobro, miss Joon. Niech pani nigdy w to nie wątpi! Będziemy walczyć!

Kurtyna.

Odsłona czwarta.

Klasa. Lekcja. John podnosi rękę.

MISS FELLER: Czego chcesz?

JOHN (wstaje): Niech nam pani opowie coś o Rosji.

FELLER: Tego nie ma w programie.

JOHN: Nas to dziwi. Taki olbrzymi kraj, a nic o nim nie wiemy. Przecież nas to interesuje!

FELLER: Dobrze! Co właściwie cię interesuje?

JOHN: Chociażby najogólniejsze wiadomości o dziejach Rosji i Związku Radzieckiego.

FELLER: Siadaj. Nie stój mi przed oczyma. W historii Rosji nie ma nic interesującego ani bohaterstwa. Kraj ten powstał z chaosu i nieporządku. Poza tym — zdaje się na początku wieku osiemnastego — był tam taki car Piotr. Słyszał z tego, że wyrąbał okno do Europy.

JANE: W jaki sposób wyrąbał?

JOHN: Jak?

FELLER: Zwyczajnie wziął topór i wyrąbał.

BETTY (wstaje): A co było dalej, proszę pani? Jak już wyrąbał to okno?

FELLER: Siadaj. W ciągu całego stulecia rządziły tym państwem kobiety-caryce... Siadaj!! Były bardzo ekscentryczne. Jedna z nich nazywała się Elżbieta. Słysnęła z tego, że posiadała aż piętnaście tysięcy sukien.

DICK (wstaje): Może, nam pani powie, jak tam jest obecnie?

FELLER: Obecnie, Dicku Dempsey, panuje tam niesłychany chaos, bałagan! Rosjanie chcą zawładnąć całym światem i podporządkować go sobie. Musimy stale czuwać i pamiętać o groźnym niebezpieczeństwie. (Do Johna). O co ci chodzi?

JOHN (wstaje): Tutaj piszą: „Ameryka wiele zawdzięcza Rosji. Winna jej wdzięczność za nieugiętą przyjaźń, którą okazała w czasie naszych najcięższych doświadczeń... Wierzmy, że przyjaźń ta również i w przyszłości nie ulegnie zmianie“.

FELLER: Co to znaczy? Skąd masz tę książkę? Kto ją napisał? To jakaś rosyjska propaganda.

JOHN: Napisał ją Mark Twain, proszę pani.

FELLER: Nie może być. Daj mi tę książkę. (Szuka odczytanych przez Johna zdań). „Ameryka... wiele... zawdzięcza Rosji... za nieugiętą przyjaźń, którą okazała“ (Ogląda okładkę). Mark Twain. Więc co? To właśnie my pomogliśmy Rosji do zwycięstwa i uwolnili ją od Hitlera. My, my! Zrozumiałeś. Bez naszej pomocy zginęłaby. Rozumiesz? Mam nadzieję, że już więcej pytań nie będzie? A ty czego chcesz?

BETTY: Jedno tylko pytanie, proszę pani!

FELLER: Dobrze. Ale już ostatnie.

BETTY: Bardzo chciałabym wiedzieć, czy jak do rosyjskiej szkoły uczęszcza jakieś inne dziecko, nie rosyjskie, ale jakieś inne, na przykład czarne lub inne kolorowe, czy jest mu tam tak samo dobrze jak rosyjskiemu dziecku?

FELLER: To nie ma nic wspólnego z historią. Do widzenia. (Odchodzi. Dzieci wstają).

WSZYSCY: Do widzenia, miss Feller.

DICK: Aleś ją rozgniewała, Betty!

JOHN: Myśli, że jesteśmy idioci. Że nic nie wiemy o Rosji.

DICK: Słuchajcie. Dyrektor zaprasza do siebie. Kto chce, może przyjść.

WSZYSCY: Co ty mówisz? Na kiedy? Po co?

JOHN: Opowie nam o Rosji.

DICK: Kto pójdzie?

JOHN: Ja.

GŁOSY: Ja też. I ja. Ja. Ja.

JANE (nieśmiało): I ja chciałabym pójść.

DAVY: Ja również.

ANGELA (do Davy): Cóż, idź... — jeżeli tak mało cię wzrusza los twojego ojca.

DAVY: Co to znaczy?

ANGELA: Tyle tylko, że chyba wcale nie chasz ojca, ani matki, ani siostr, jeżeli omijasz sposobność ulżenia ich losowi...

JOHN: Tyś chyba całkiem zwariowała. Nie słuchaj jej Davy! Znajdą się między nami ludzie, którzy wystąpią w obronie twojego ojca. Wkrótce sam pan Bidlee odczuje to na własnej skórze.

ANGELA: Bardzo mi przyjemnie, żeś to powiedział. Słyszeliśmy, że w kopalniach szykuje się strajk. Będziemy teraz wiedzieli, kogo pociągnąć za to do odpowiedzialności.

JOHN: Okazuje się, że jesteś również szpiclem! W naszej szkole to pierwszy tego rodzaju wypadek!

BETTY: Rozsiadła się tutaj. Siedzi sama. Oddzielnie. I dyryguje.

JOHN: Pewno myśli, że nikt z nas nie jest jej godny! Słuchaj, ty księżniczko, na ziarnku grochu, ogłaszamy bojkot twojej osoby — cała klasa!

ANGELA: Nie przejmuję się byle chamstwem!

JOHN: Rozmowy skończone. Słuchajcie. Ponieważ wszyscy obdarzacie mnie zaufaniem, oznajmiam, że począwszy od tej chwili, kto odważy się usiąść na jednej ławce z Angelą Bidlee, albo w ogóle, kto będzie się z nią zadawał zostanie wykluczony z naszego grona — nie będzie naszym kolegą!

ANGELA: Jak śmiesz wszystkimi rządzić? Ty John Black (czarny). Charlie zaraz tu obok mnie usiądzie. Zobacysz.

CHARLIE: Ja?...

ANGELA: Proszę cię, Charlie!

CHARLIE: Mnie osobiście...

ANGELA: Zapraszam cię na moją ławkę.

CHARLIE: Z całą przyjemnością, Angelo, ale w tej chwili właśnie muszę iść... I tak już jestem spóźniony... Pirramidalnie. (Odchodzi).

DICK: Widzieliście? To jest Bucz!

ANGELA: A mnie odechciało się siedzieć z chłopcem. O wiele przyjemniej będzie siedzieć z koleżanką, a zwłaszcza, z najlepszą przyjaciółką. Prawda, Mary?

MARY (bardzo zmieszana): Ja... Tak... Naturalnie... (W rozpacz). John...

JOHN: Nie łatwo ci teraz Mary Müller. Chcesz usiąść obok osoby, od której odwróciła się cała klasa, a jednocześnie z całą klasą utrzymać dobre stosunki? Jak to zrobić, Mary Müller?

MARY: Jakiś ty okrutny, Johnie! Jak trudno jest być w przyjaźni z tobą.

DICK: John postępuje słusznie. To zuch!

ANGELA: Byłam o tobie lepszego zdania. Myślałam, że posiadasz dumę.

MARY: Ale jeśli John występuje w imieniu całej klasy... Po prostu nie wiem... (Płacze).

BETTY: A widzisz! Cała klasa cię bojkotuje. (Gra na nosie).

ANGELA: Trąciłaś mnie. Jak śmiesz!

BETTY: Nie waż się na mnie krzyżeć. Jestem takim samym człowiekiem, jak ty!

ANGELA: Pierwsza lepsza kolorowa dziewczyna będzie mnie trącała! Ja ci pokażę!! (Angela zamierza się na Betty, ale Dick odsuwa jej rękę). Ty... chciałaś mnie uderzyć?!

DICK: Nie biję dziewczynek. Nawet takich jak ty.

ANGELA: Złapałaś mnie za rękę. (Wyciera rękę chusteczką). Może ktoś ma trochę wody kolońskiej?

DICK: Kiedyś po raz pierwszy przestąpiła ten próg, a miss Feller powiedziała, że nazywasz się Angela, zdawało mi się żeś do nas z nieba zstąpiła, jak prawdziwy anioł. Ale okazało się, że jesteś po prostu świnią. (Wchodzi Tucker). Najzwyczajniejszą pod słońcem świnią.

TUCKER: Co się tu dzieje? Dlaczego nie rozchodzicie się? Kto panią skrzywdził, miss Angelo?

ANGELA (wskazując na Dicka): On mnie uderzył. Chciał mi złamać rękę. Schwycił i ścisnął, ot, tak... Wykręcił mi dłoń... Och, nie mogę. Krew...

JOHN: Wiecie, że ona jest naprawdę... świnią. Najzwyczajniejszą świnią.

TUCKER: Milcz! Dick Dempsey, siadaj na swoje miejsce i połóż ręce na pulpicie. Jak śmiesz, Dicku Dempsey, znęcać się nad dziewczynką. (Bije linijką po rękach Dicka). Na to może sobie pozwolić tylko ordynarne zwierzę, takie, jakie z ciebie wylazło. Odpowiesz za to. (Bije go).

DICK: Nie sprawiłem jej żadnego bólu, mister Tucker. Zwyczajnie odsunąłem jej rękę. I zawsze tak będę robił, choćby mnie pan za to karał...

ANGELA (jęczy): Ach, boli... Muszę iść do lekarza... Niech pan zobaczy, cały palec mi spuchł...

TUCKER: Zaraz panią odprowadzę do lekarza, miss Angelo! A wy wszyscy marsz do domów. Pożalujesz jeszcze twojego postępuku, Dicku Dempsey. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, co spadnie za to na twoją głowę. (Odchodzi z Angelą).

DICK (smutnie): Myślę, że dyrektor chociaż dał mi słowo, będzie jednak musiał przed nimi ustąpić.

JOHN: Nie martw się, Śnieżku! Wszystko będzie dobrze. Zbieramy się dziś u dyrektora. Przyjdźcie wszyscy. Zwłaszcza teraz musimy się wszyscy trzymać mocno i razem.

Kurtyna.

Koniec aktu drugiego.

Akt III.

Odsłona piąta.

Gabinet dyrektora. Wieczór. Przy biurku siedzi miss Joon. Obok niej na kanapce siedzą: John, Dick, Betty, Jane, Charlie, Mary. Miss Joon czyta książkę. Wszyscy uważnie słuchają. W gabinecie znajduje się również dyrektor. Z boku prawie przy samych drzwiach siedzi pan Tucker. Od czasu do czasu notuje coś.

JOON (czyta): Mieszkańcy Krasnodonu nigdy nie zapomną tej nocy. (Przerywa dla nabrania tchu).

BETTY (cicho): Czy wyrok został wykonany?

JOON: Tak.

JANE (cicho): A Oleg?

JOON: Przeczytam wam jeszcze kawałek o ostatnich chwilach życia Olega Koszewoja. (Odwraca kartki książki i czyta). „Oleg stał przed komendantem Klerem z przebitymi rękoma, z zapadłymi policzkami... Skronie miał zupełnie sine. Ale spojrzenie jego wielkich oczu spod złocistych rzęs było jasne, o wiele promienniejsze niż zawsze. Powiedział: „Żałuję tylko tego, że nie będę mógł dłużej walczyć razem z całym narodem i całą ludzkością o sprawiedliwy, uczciwy ustrój. Ostatnie moje pozdrowienie przesyłam tym wszystkim, którzy o to walczą“ *). (Joon zamyka książkę. Wszyscy milczą. Dyrektor podchodzi do uczniów, a Tucker, nie zauważony przez dyrektora, wymyka się z pokoju).

DYREKTOR: Wiecie teraz, moi drodzy, jaka jest młodzież radziecka. (Chodzi po pokoju). Podyskutujemy na temat tej książki.

TUCKER (wraca): Mister Tompson.

TOMPSON (cicho): O co chodzi? Czy ktoś przyszedł?

TUCKER: Od sędziego Smila...

* Urywek z powieści A. Fadiejewa „Młoda Gwardia“, można przeczytać większy.

DYREKTOR: Czego on szuka w naszej szkole?

TUCKER: Myślę, że pan sam...

DYREKTOR (przerywa Tuckerowi): Chodźmy! Miss Joon. (Do wszystkich). Omawiajcie tymczasem książkę sami. Zaraz wracam, odchodzi).

JOON: Rozpoczynamy dyskusję. Kto zaczyna?

JOHN: Co za książka! I jacy ludzie! Nie wiem, czy znalazłbym w sobie tyle odwagi, jak ten Oleg. Staralbym się oczywiście... zdobyć się..

JANE: I pomyślcie tylko jak oni tam żyli podczas wojny, a jak my tutaj! Pomyślcie tylko!

DAVY: Dlaczego miss Feller tak źle o nich mówi? Powiada, że zwyciężyli tylko dzięki naszej pomocy. Czy jest w tym chociaż odrobina prawdy?

JOON: A wy jak sądzicie?

DICK: Naturalnie, że nie: jestem przekonany, że u nich w szkole nie mogłaby rządzić taka Angela Bidlee. Nikt by tego ani przez jedną sekundę, ani nawet przez chwilę nie zniósł.

BETTY: Tak bym chciała zaprzyjaźnić się z rosyjskimi uczniami. Chciałabym żeby wiedzieli, jak dobrze o nich myślimy. I żeby oni o nas również dobrze myśleli.

JOON: To się da zrobić, Betty.

GŁOSY: Jak? Co? Miss Joon? W jaki sposób?

JOON: Zdobędę adresy i napiszemy do uczniów w Związku Radzieckim. Oni nam na pewno odpiszą. W ten sposób możemy poprzez ocean nawiązać przyjazne stosunki.

DAVY: Doskonała myśl.

JOHN: Nadzwyczajna! Ja pierwszy do nich napiszę. Napiszę... Napiszę... (Wchodzi dyrektor, a za nim Tucker).

DYREKTOR: Mamy teraz pilną naradę z nauczycielami. Do widzenia! Dobranoc!

GŁOSY UCZNIÓW: Dobranoc, mister Tompson! (Uczniowie wychodzą).

DYREKTOR: Dicku, zejdź natychmiast na dół, do mojego pokoju i czekaj tam na mnie. A ty, Betty, idź do jego matki i powiedz jej, że Dick jest w szkole, żeby się nie martwiła. Zatrzymam go trochę dłużej.

BETTY: Dobrze, mister Tompson. (Odchodzi).

DYREKTOR: Mister Tucker, niech pan tu poprosi miss Feller.

TUCKER: W tej chwili, mister Tompson. (Odchodzi).

JOON: Co się stało, mister Tompson?

DYREKTOR: Sąd dla nieletnich wzywa Dicka Dempsey'a.

JOON: Z jakiego powodu?

DYREKTOR: Oskarżają go o „bandycką, nikczemną napaść dla umyślnego kalectwa“, zdaje się, że w wezwaniu tak to jest sformułowane.

JOON: Okropność! Co zrobimy?

DYREKTOR: Odprawiłem na razie policjanta i zostawiłem u siebie Śnieżka na własną odpowiedzialność. (Pukanie). Kto tam? Proszę! (Wchodzi

policjant). Znowu? Czego sobie pan jeszcze życzy?

POLICJANT: Mam rozkaz, proszę pana, odprowadzić oskarżonego ucznia, Richarda Josepha Dempsey'a, do sędziego Smila.

DYREKTOR: Przecież panu oświadczyłem, że odmawiam wydania panu mojego ucznia...

POLICJANT: Mam rozkaz. Jeżeli nie pójdzie dobrowolnie będę zmuszony użyć siły.

DYREKTOR: Pan mnie zna?

POLICJANT: Tak, panie. Pana zna całe miasto.

DYREKTOR: Więc niech pan przyjmie do wiadomości: nie pozwalam mojemu uczniu Richarda Josepha Dempsey'a zabierać do sędziego Smila. Chłopak jest chory. Położyłem go do łóżka.

POLICJANT: Mam rozkaz.

DYREKTOR (stanowczo): Idę z panem sam. Rozumie pan? Ale sam.

POLICJANT: Jak pan sobie życzy. (Joon, dyrektor, policjant wychodzą. Tucker wchodzi chyłkiem, podchodzi do aparatu telefonicznego).

TUCKER (szepcąc do słuchawki): Mister Bidlee? Tu mówi Tucker. Tompson odmówił kategorycznie wydania tego murzyniaka. Udał się osobiście do sędziego Smila... Ale ja sprowadziłem policję innym wejściem. Niech pan będzie spokojny. Wszystko się załatwi tak... tak... tak... Słucham pana, panie Bidlee. (Słyszy kroki, szybko gasi światło, wychodzi).

(Dick wchodzi, staje koło biurka, bierze do ręki książkę, przewraca stronicę, przypomina sobie zdanie z książki i powtarza je na głos. Podchodzi do okna zamyślony. Wchodzi Tucker z dwoma policjantami. Tucker wskazuje na Dicka. Policjanci chwytają go).

Kurtyna.

Odśłona szósta.

(Dekoracje jak w I-szej odślonie).

JANE (wskazując na drzwi): Co to za ludzie, Betty?

BETTY: Nie wiem.

JOHN: Na pewno jakaś komisja. Widziałem jak tam wszedł mister Bidlee i jeszcze inne jakieś ważne osoby. A potem przyszli miss Feller i mister Tucker. Tam na pewno odbędzie się sąd nad Dickiem.

JANE: A gdzie jest mister Tompson?

JOHN: Poszedł uwolnić Śnieżka.

BETTY: Co jest z Dickiem? Nie potrafię o niczym innym myśleć... Nie mogę...

JOHN: Uspokój się, staruszeko. Nic mu się złego nie stanie.

BETTY: Nie, nie. Jemu jest źle. Wiem na pewno. Moja babcia zawsze nam powtarza: „Uccie się mniej, czarne dzieci, a mniej nieszczęść spadać będzie na wasze głowy“. O, ona dobrze wie! Tyle się w życiu naciępała.

MARJORE: Spójrzcie, jak się trzęsie, jaki tchórz obleciał naszą szlachetną czarnuchę.



JOHN: Milcz!

CHARLIE: Jak myślisz, Ange, co będzie robił Śnieżek, gdy go wypędzą ze szkoły?

ANGELA: Przypuszczam, że znajdzie jakąś ciężką robotę i będzie pracował, aż go gdzieś przyłapią na kradzieży.

CHARLIE: Według mnie najodpowiedniejszą pracą dla czarnego Śnieżka — to czyścić czarne buty, czarną pastą! Co, czy może nie pirramidalnie to wymyśliłem?

MARJORE: Bardzo dowcipnie! (Angela zasiada do pianina i gra skoczną melodię, Charlie śpiewa).

JOHN (zatrząskuje wieko pianina): Idźcie bawić się gdzie indziej.

CHARLIE: No, no. Nie rozbijaj się. Ty muryński obrońco!

JOHN: Wynoś się stąd. (Wypycha Charliego, ten się przewraca).

CHARLIE (na podłodze): Pirramidalne.

ANGELA (z piskiem): Nie waż się ruszać Charliego!

MARJORE: Do sędziego z nim!

JOHN: Wynoście się stąd, bo rozbiję wszystko. (Wbiega Tucker).

TUCKER: Co tu się dzieje! Co za wrzaski? Kto wam pozwolił tu wejść?

(Część uczniów wynosi się).

BETTY: Mister Tucker...

TUCKER: Milcz!

BETTY: Mister Tucker...

TUCKER: Słyszałaś, co powiedziałem? Nie

masz ani odrobiny taktu, ani wychowania. Jesteś ordynarna i natrętna. Wynoś się stąd. (Wypycha Betty).

ANGELA: Mister Tucker, a czy my możemy pozostać?

TUCKER: Ależ naturalnie, miss Bidlee. (Angela i Charlie siadają pod oknem. Tucker kieruje się do sąsiedniego pokoju, skąd wychodzi Bidlee).

BIDLEE: Czy Tompson jeszcze nie wrócił?

TUCKER: Powiadają, że Tompson wciąż jeszcze jest u sędziego.

ANGELA: Mister Tompson chce uwolnić swojego czarnego ulubieńca, pa, słynnego Śnieżka. Pa, czy mu się to uda?

BIDLEE: Nie, to mu się nie uda. (Do Tuckera). Bardzo dobrze mówił pan przed komisją śledczą. Złożył pan bardzo cenne zeznania.

TUCKER (kłania się): Wiele o tym myślałem, co pan mi powiedział. To się w zupełności zgadza z moimi poglądami.

BIDLEE (przygląda się badawczo Tuckerowi): Jest pan co prawda zbyt młody na dyrektora szkoły. Jednak... potrafi pan dobrze rozumieć intencje swych przełożonych.

TUCKER: Bezwątpienia, m'ister Bidlee.

BIDLEE: No cóż. Możemy zaryzykować. Proszę nie dziękować, Tucker. Tompson jeszcze na razie nie ustąpił.

TUCKER: Mister Tompson ma wielu obrońców.

BIDLEE: Będzie ich miał coraz mniej. Gdzie macie aparat telefoniczny? Muszę koniecznie zadzwonić.

TUCKER: Proszę bardzo, zaprowadzę.

(Bidlee i Tucker wychodzą, Charlie wywraca kozła, Angela klaszcze w dłonie. Brawo Charlie! Jeszcze raz!).

CHARLIE (powtarza, ale niezręcznie): Zdaje mi się, że za dużo się najadłem. Wczoraj pysznie to robiłem.

ANGELA: Musisz dużo i wytrwale trenować. Będziesz przecież reprezentował naszą klasę. Zostaniesz mistrzem.

CHARLIE: Myślisz, że Śnieżek już fiuu... Nawzawsze?

ANGELA: Myślę, że nie bardzo będziesz z tego powodu płakał.

CHARLIE: Jeszcze czego? A z jakiej racji ja mam się martwić o innych? Mój ojciec co rano po pacierzu kładzie mi do uszu: „Myśl mniej o innych, a więcej o sobie. Wówczas na świecie zapanuje doskonały ład“. Choć mnie co prawda jest absolutnie obojętne, jaki na świecie będzie ład, byleby mnie było dobrze. Czy n'e mam racji, Ange?

ANGELA: Nie masz. Mój ojciec mówi, że bym właśnie uważnie obserwowała, co się dookoła mnie dzieje. I wcale mi nie jest obojętne, jaki będzie ład.

CHARLIE: Pirramidalnie. Gadasz zupełnie jak minister. (Wchodzi John. Za nim nieśmiało Betty).

ANGELA: Chodźmy stąd. Nie mogę wprost znieść, gdy ci są obok mnie. Cała się trzęsę.

CHARLIE: Ja tak samo.

(Charlie i Angela odchodzą w głąb sceny).

JOHN: Nie zwracaj na nich uwagi, staruszeko.

BETTY: Już mi wszystko jedno. Coś się we mnie załamało. Teraz już nigdy nie będzie dobrze.

JOHN: Będzie.

BETTY (cicho): A ta komisja śledcza co tam obraduje, czy będzie sędzić Dicka, czy pana Tompsona?

JOHN: Pana Tompsona.

BETTY: Czy on zrobił coś złego?

JOHN: Nie. Uczynił wiele dobrego.

(Wchodzi Tompson otoczony dziećmi).

BETTY: Mister Tompson, co zrobiono z Dickiem?

JOHN: Gdzie jest Dick, mister Tompson?

TOMPSON (po namyśle): Śnieżek jest chory, moi drodzy.

JANE: Czy pan widział Dicka?

DYREKTOR: Nie. Powiedzieli mi tylko, że Dick miał atak. Jest w szpitalu. Będę go mógł zobaczyć dopiero o siódmej wieczorem.

BETTY: A może Dick już nie żyje, mister Tompson?

DYREKTOR: Ależ co ty mówisz?

JOHN: A może go bili?... Mister Tompson.

DYREKTOR: Nie wiem.

(Z sąsiedniego pokoju wybiega miss Joon).

JOON: Mister Tompson! Musi pan tam pójść. Prędkiej mister Tompson. Tam zapadają okropne uchwały.

(Wpada Dick. Nie może złapać tchu, ubranie podarte. Wszyscy się rozstępują, Dick prawie pada w objęcia Tompsona).

BETTY: Dicku, Dicku! Co oni z tobą zrobili?

JANE: Śnieżku!

TOMPSON: Co się stało, Dicku?

DICK: Bili mnie... Chcieli, żebym się przyznał do rzeczy, których nigdy nie zrobiłem. Uciekłem ze szpitala... Pan obiecał, że nie pozwoli mi skrzywdzić.

TOMPSON: Z pewnością, Dicku. Wyteżę wszystkie swoje siły, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Wszystko, co będę mógł, mój Dicku! (Wchodzi Bidlee, za nim Tucker).

DICK: Całą noc nie zmrzyłem oka... Wciąż myślałem: za co się oni nade mną znęcają! Pytam was, wszystkich? Odpowiedźcie. Błagam was, odpowiedźcie. Za co? Za co mnie nienawidzą? Pragnę się uczyć — dlaczego wyrzucają mnie ze szkoły.

BIDLEE: Dosyć!

DICK: Nie! Muszę powiedzieć! Mam czarną skórę, ale jestem takim samym człowiekiem, jak wy! Czy nie ma sprawiedliwości na świecie?

TOMPSON: Jest, Dicku!

BIDLEE: Mister Tompson! Pan został usunięty ze stanowiska dyrektora szkoły.

TOMPSON: Zbyt szybko pan się z tym załatwił mister Bidlee...

BIDLEE: Tuckera wyznaczono chwilowo na pełniącego obowiązki dyrektora.

TUCKER (podchodzi bliżej): Myślę, panie Tompsonie, że może pan na tym zakończyć swoją działalność, która jest absolutnie sprzeczna z naszymi poglądami na wychowanie młodzieży.

BIDLEE: Cha! Cha! Cha! Doskonale zakończenie. Nie spodziewał się pan tego, mister Tompson?

TOMPSON: Kto wie, a może to dopiero początek, mister Bidlee?

(Słychać zawodzącą syrenę fabryczną. Wchodzi policjant).

BIDLEE: O co chodzi?

TUCKER: Czy pan przyszedł po byłego ucznia naszej szkoły, Richarda Josepha Dempsey'a, który uciekł od sędziego Smila. Jest tu. Bierzcie go!

(Dick przytulił się do Tompsona. Dzieci przerażone patrzą na policjanta).

POLICJANT (nie zwracając uwagi na Dicka): Za pozwoleniem sire, otrzymałem rozkaz, by zawiadomić mistera Bidlee.

BIDLEE: O co chodzi? Jestem Bidlee.

POLICJANT: Za pozwoleniem, w pańskiej kopalni wybuchł strajk. (Słychać coraz głośniejsze zawodzenie syreny).

TOMPSON: Za wcześniej, chciał pan triumfować, mister Bidlee. Będziemy walczyć o nasze dzieci i o przyszłość Ameryki. Wychowamy je dla pokoju, dla prawdziwej wolności. Nie, nie cofniemy się. Nie damy się zastraszyć. Będziemy walczyć!

Kurtyna.

OBJAŚNIENIA I WSKAZÓWKI

Dla zrozumienia sensu sztuki należy przypomnieć i uświadomić sobie stosunki panujące na drugiej półkuli ziemskiej. Żywym i pełnym tych stosunków odbiciem jest Angela, dziewczyna o anielskim wyglądem, a sercu czarniejszym niż najczarniejsza skóra murzyńska, którą tak nienawidzi. Angela przybywa ze stanów południowych Ameryki Północnej, gdzie tradycje niewolnictwa są jeszcze bardzo żywe. Głęboko tkwi w niej odraza i pogarda dla czarnych, którą przeradza się w żywiołową nienawiść w zetknięciu z innymi stosunkami i innym, bardziej tolerancyjnym nastawieniem do tego zagadnienia. Jest to jednak sprawa raczej uboczna i wtórna. Najistotniejszym zagadnieniem jest walka o utrzymanie kapitalistycznego ustroju w Ameryce. Angela jest dość inteligentna i sprytna, aby zdawać sobie sprawę z tego, że chcąc zachować swoje przywileje klasowe musi walczyć z wszelkimi nowymi ideami nurtującymi świat. Są to idee równości i sprawiedliwości społecznej. Tak ona, jak i jej ojciec, dufny w swą potęgę potentata kapitalizmu, znajdują łatwo sprzymierzeńców. Wprawdzie w stanach północnych stosunek do

czarnych ludzi jest pozornie lepszy niż na południu, lecz to tylko pozór i frazes. Ale nie cała Ameryka jest taka. Tylko rząd, kierowany wolą kapitalistów, imperialistyczny rząd Ameryki broni rozkładającego się kapitalizmu, naród amerykański jest inny. Przedstawicielem tej drugiej Ameryki w sztuce jest Tompson, człowiek nadchodzących nowych czasów i ten, który podejmuje jego ideę — uczeń John. Ostatni akcent sztuki, strajk w fabryce, jest już tylko „kropką nad i”, okazaniem istotnej słabości grupy kapitalistycznej i narastającej siły reprezentantów nadchodzącego porządku.

Myśl przewodnią sztuki należy podkreślić również akcesoriami zewnętrznymi. **Ubrania:** „grupa kapitalistyczna” — wymuskani, strojni, aż do przesady i złego gustu. Tompson, miss Joon i John ubrani porządnie i starannie, ale prosto, w strojach najwygodniejszych do pracy. Davy w ubraniu czystym, ale połatanym i wycerowanym, biednym. Dzieci murzyńskie ubrane bardzo kolorowo, ale raczej ubogo. **Dekoracje:** klasa nowoczesna, jasna, czysta, nie odbiega od podobnych na całym świecie klas. Natomiast w mieszkaniu Biddlee'ów luksus wyrażający się nadmiarem obrazów, dywanów, brzydkich ale suto złożonych mebli, kosztownych zbędnych cacek i ozdób. Kontrastem jest gabinet dyrektora Tompsona, urządzone ze smakiem, z celowością, najprostszymi meblami. Jedyłą ozdobą może być piękny dywan i dużo ciętych kwiatów zdradzających subtelność i wrażliwość na piękno.

Uwagi: W sztuce jest kilka zmian dekoracji. Należy przygotować, wyćwiczyć i zorganizować wszystko tak, aby przerwy trwały jak najkrócej, w przeciwnym razie przedstawienie stanie się nudne.

Charakteryzacja Murzynów. Przygotować gęsty płyn z piwa słodowego ciemnego, wymieszanego z utartym palonym korkiem. Płynem tym natrzeć palcami twarz i wszystkie odsłonięte miejsca skóry z wyjątkiem wewnętrznej strony dłoni (Murzyni mają dłonie jasne). Usta podkreślić mocno czerwoną kredką. Włosy mocno skręcone.

Strój policjanta według fotografii z pism zagranicznych.

Tempo gry żywe. Pamiętać, że Amerykanów cechuje hałaśliwość, żywość i nieopanowanie gestów, gwałtowność.

H. N. B.

BIBLIOTECZKA TYGODNIKA PRZYJAŹŃ

Począwszy od lipca b.r. ukazywać się będą każdego miesiąca pojedyncze tomiki, które stworzą biblioteczkę. Zawierać będą najcenniejsze krótkie utwory znanych współczesnych pisarzy radzieckich oraz klasyków literatury rosyjskiej

W bieżącym roku ukazą się:

CENA EGZEMPLARZA

W PRENUMERACIE zł. 25. —

W SPRZEDAŻY 50. —

B. Gorbatowa — „Poród na Ziemi Ogórkowej”

M. Wirty — „Na gościńcu”

W. Korolenki — „Sen Makara”

W. Saronowa — „Żywa Ziemia”

A. Beka — „Timofiej — Gorące Serce”

— „Wybór Nowel”

WYDAJE SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

„WSPÓŁPRACA”

WARSZAWA, RATUSZOWA 21. Telefon 64-02

Prenumeratę wpłacać można:

W kolportażu Spółdzielni, Warszawa, ul. Ratuszowa 21.

Telefon 71-98

W KSIĘGARNIACH SPÓŁDZIELNI „WSPÓŁPRACA”

Warszawa, ul. Królewska 2
 „ ul. Marszałkowska 92
 „ ul. Targowa 63
 Katowice, ul. Warszawska 21
 Poznań, ul. Czerwonej Armii 3
 Wrocław, Rynek 6

Bydgoszcz, Al. 1-go Maja 30
 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Barlickiego 1
 Gdynia, ul. Świętojańska 3
 Lublin, ul. Krak. Przedmieście 38
 Wałbrzych, Plac Wolności 3a

W ODDZIAŁACH WOJEWÓDZKICH TOWARZYSTWA PRZYJAŹNI POLSKO-RADZIECKIEJ oraz w każdym Urzędzie Pocztowym na konto: P.K.O. 1.4769 „Przyjaźń”.

Złote ręce Timoszki

Widowisko świetlicowe, opracowane na podstawie książki

„GORĄCE ŹRÓDŁA”

opracowanie i przekład Joanny Poraskiej.

OSOBY:

TIMOFIEJ FURCEW, lat 34.

DUNIA FURCEW, lat 32.

OPALICHA, lat 75.

NIKITA, lat 60.

HARAŚKA

GRUNIA

} dzieci Timofieja, lat 9 i 7.

POLA RODIONOW, lat 25.

NASTKA, lat 20.

KOWAL, lat 60.

Wnętrze chaty Furcewa. Okno na wiejską uliczkę. Wielki biały piec pomalowany w czerwone koguty. Drzwi, parapet, okna i gzyms nad drzwiami pomalowane we wzory kolorowe. Z lewej strony łóżko, z prawej drzwi na ulicę (do sieni), duży stół na krzyżaku, ławy, skrzynia malowana. W samym rogu na lewo wiszą dwie stare ikony, na ścianie obok okna wiszą portret Stalina. Wczesny ranek. Timofiej leży na łóżku i śpi. Wchodzi po cichutku bosa Dunia. Stąpa cicho żeby nie obudzić męża, sprząta, przeciera sprzęty z kurzu, potem siada i rozczesuje włosy przed lustrem. Timofiej, który leży na łóżku ubrany w spodniach wojskowych i białej koszuli, budzi się.



Z życia wsi radzieckiej. W szkole.

TIMOFIEJ (unosi się na łokciu i z uśmiechem patrzy na czeszącą się żonę. Jest to przystojny jasny blondyn, wygolony, z mizerną bardzo twarzą, widać że wraca ze szpitala): I dla kogóż ty się tak stroisz, co?

DUNIA (ładna, miła, z pięknymi włosami, które jej spadają na ramiona): Przebudziłeś się, Timoszka? A ja dzieci na dwór posłałam żeby ci nie przeszkadzały. Jak przyjechaliśmy w nocy ze szpitala, to się nie przebudziły, ale rano żyć nie dawały, tylko napierały się do ojca.

TIMOFIEJ: Chodź, usądź przv mnie.

DUNIA: Idę. (Siada na łóżku męża. Timofiej całuje ją po twarzy i oczach, włosy jej zakrywają twarz męża).

TIMOFIEJ: Jak ja się za wami stęskniłem, to żadna mowa nie wypowie. Rok frontu, potem to nieszczęście, pół roku prawie w szpitalu. Widzisz, Dunia, bałem się napisać, że mi obie nogi do kolan ucięły. Co innego jak mnie żywym zobaczysz, choć i kalekę. A co innego znowu jakbym cię takim listem struła... Ot, widzisz, tak to się zaraz okaże, czy swój czy obcy, czy mnie przyjmiesz do domu, czy też wypędzisz...

DUNIA: Bój się Boga chłopie, co też ty gadasz?

TIMOFIEJ: Jak tak człowiek pół roku w szpitalu leży, to się dopiero nasłucha! Ilu to kolegów narzekało przede mną, że mają baby w'ercipięty, co domu nie pilnowały, ale jak oni na froncie wojowali, to one za innym poleciały. Różni przecie ludzie bywają. I źli i dobrzy. Tom sobie leżał i myślał po nocach: a strasznie mi się te nocki dłużyły w chorobie. Myślałem, czy też moja Dunia przyjmie mnie takiego kuternogę...

DUNIA: Oj, jak eż te chłopcy podłe to strach pomyśleć. A toćbym chyba serca nie miała jakbym cię opuściła, kulasku mój najmilszy, nieboraczkę serdeczny. (Timofiej gładzi jej policzki, żona gładzi jego rękę). Żebyś ty nie był taki słaby, to bym ci dobrze przyłożyła mokrą ścierką za to paskudne gadanie, ale jeszcze mi cię żal.

TIMOFIEJ: Co się odwlecze, to nie uciecze. Jeszcze nieraz tą ścierką dostanę.

(Śmieją się oboje).

DUNIA: Przez ten czas coś się wywczasował, umyłam tu ślicznie podłogę, pilnuj żeby dzieci nie zabrudziły.

TIMOFIEJ: Przypilnuję.

DUNIA: I co też to ci do głowy przychodzi? Ja bym ciebie rzuciła? A gospodarstwo? A dziecińska?

TIMOFIEJ: Mało to gospodarzy na świecie? Byłabyś sobie pewnie inszego znalazła.

DUNIA: A przestań że nareszcie, bo dostaniesz po łbie, chociaż i słaby. (Śmieją się). Jak mi ten stary doktor w szpitalu gadał żebyś tam został u nich, tom się nawet n'e spytała po co, bo się okrutnie splakałam z tej rozpaczki o twoje nogi. Wstyd mi żem tyle wrzasku w szpitalu narobiła, widziane to rzeczy, żeby gospodyni, matka dzie-

ciom, buczała jak jałówka co ją do rzeźni prowadzi. Po co też ten doktor chciał cię w tym szpitalu przetrzymać?

TIMOFIEJ: Oni podobno szkołę dla inwalidów zakładają. Kto stracił oczy, to go nauczą rzeźmiosa takiego, żeby oczy nie były potrzebne. Kto nogi stracił, jak na ten przykład ja, to go nauczą szewstwa, czy ślusarki, gdzie nogi niepotrzebne, bo się wszystko robi rękami. Żeby nikomu nie być ciężarem, ani swoim ani obcym, ani własnemu kolchozowi.

DUNIA: Co ci tam po nauce, kiedy ty masz złote ręce! Wszystko zawsze umiałeś zrobić i w domu i na polu. Pamiętasz, jak to buty robiłeś? Posiedziałeś przez dwie niedziele, jak przylutowany do stołka, a n'kt cię przecie szycia butów nie uczył.

TIMOFIEJ: I buty się udały.

DUNIA: Udały jak udały, ale zawsze widać że to buty, a nie łopaty.

TIMOFIEJ: Takem se myślał, jak mnie łapiduchy znaleźli pod tym szwabskim czółgiem, co mi nogi obciął, że się chyba powieszę albo zastrzelę. Strasznie mi się nie chciało żyć kaleką.

DUNIA: Co też ty gadasz! A cóż byśmy bez ciebie zrobili? (Gładzi go po głowie). Już nawet n'e wspominaj.

TIMOFIEJ: A potem jak ten pierwszy ból przeszedł, tożem sobie pomyślał: mogło być gorzej. Mogło nie być oczów albo rąk. Co bym też wtedy robił. A przecie nie tramwaj mi te nogi przejechał, nie na weselu od tańcowania mi odleciały, tylko taki potwór wielgachny obie nogi na froncie m' urwał w tym okopie. A przecie jakby Niemcom czółgów nie palić, to by aż tu na Syberię zawędrowali ścierwa, to by może nasze dzieci powiesili, albo chałupę spalili i zboże. Dwa szwabskie czółgi od moich granatów się spaliły i nie ja jeden tymi granatami rzucałem. To chyba gada zatrzymamy, do Moskwy n'e dojdzie, a niedługo coś się może na lepsze odmienić na froncie.

DUNIA: Nie wspominaj, serdeczny, nie wspomiraj. Leż spokojnie, zaraz dzieci zawołam, n'ech przywitają ojca.

TIMOFIEJ: Wołaj, wołaj.

DUNIA (podchodzi do okna): Harasiu, Grunia, chodźcie do izby! Tata już nie śpi.

(Drzwi otwierają się, wpadają Grunia i Haraś, rzucają się ojcu na szyję).

TIMOFIEJ (ściska dzieci): Jak to powyrastały przez ten czas! No, Harasiu, może weźmiesz tatę na plecy, kiedyś już taki mocny!

(Usiłuje wstać i zejść z łóżka, Dunia mu pomaga, Timofiej siada na ławie z nogami, których stopy są poowijane w bandażę i dzieci dopiero teraz widzą jego kalectwo. Haraś i Grunia zaczynają głośno płakać i buzczać, wycierają łzy palcami i pociągają nosem).

DUNIA: Dostyc, gluptasy, dostyc. Chodźcie do stołu, zaraz wam z piwnicy mleka przyniosę. A toż nie bucz, Grunia, przecie ojciec z nami

w chałupie, ma złote ręce, wszystko umie zмайstrować, nie zginiemy! (Głaszcze dziewczynkę. Do męża). Głupie to jeszcze, bo małe. No, nie bucz. (Wychodzi).

TIMOFIEJ (siedzi milczący, widać że płacz dzieci uprzytomnił mu jego kalectwo. Po chwili): Czegoż ty się tak krzywisz, co? Myślisz że mnie te kikuty boją, jak chodzę?

HARAŚ: A juści.

TIMOFIEJ: Nie boją, synku, inom niezwyyczajny. Słuchaj no, Haraś, a gdzie to moje wszystkie narzędzia wedle ślusarki com schował w spiżarce jak mnie brali do wojska? Tyś tego nie porozwlekał z chłopakami? A koła od starego roweru? Nie widziałeś?

HARAŚ: Co miałem porozwlekać? I koła są i wszystko. Jak tatuńcio jechali, to mama wszyściuchno na klucz pozamykała.

TIMOFIEJ (uśmiechnięty): Dobrze zrobiła, bo sobie tu coś zмайstrujemy.

HARAŚ i GRUNIA: A co, tatulku, a co?

TIMOFIEJ: Zobaczycie, ino matuli nic nie gadać, bo to będzie niespodzianka.

HARAŚ: Nic nie powiemy. Tatulku, a Niemca żywego widzieliście na wojnie?

TIMOFIEJ: Oj, albo to jednego!

HARAŚ: Tatulku, a straszni oni? Pono się obawieszają czym mogą, granatami, karabinami, i strzelają aż strach.

TIMOFIEJ: Dla tchórza to wszystko straszne.

HARAŚ: A nabojów tatko nie nabral po kieszeniach? Jej, ja to bym pełne kieszenie ponabierał i strzelał na podwórku.

TIMOFIEJ: Cicho, matusia idzie.

DUNIA (wraca z piwnicy z mlekiem w dużym garnku, ustawia na stole kubki, kraje chleb): No, chodźcie na śniadanie, a ja tylko do zarządu polecę, bo wezmę nowe gazetki rolnicze. Trzeba poczytać co tam ludzie nowego wymyślili. Dzieci, a pilnować mi tu tatulka i posłużyć. Na krok wam wyjść nie wolno, jakby co chciał, to macie wszystko podać, posłużyć. (Wychodzi).

TIMOFIEJ: No, do roboty. Ty, Grunia, pomóż, oprę się na tobie, w szafce mam trochę rzeczy. A ty, Haraś, przynieś z szopy te koła od roweru, co tam znajdziesz gwoździ, narzędzi. Przynieś i zwał tu na podłogę. (Haraś wybiega).

(Timofiej oparty na córce, i na kuli kuśtyka do szafki i wyjmując pudełko z małymi narzędziami, wraca i siada na ławie, na wprost widowni, rozkładając narzędzia na ławie. Grunia podaje ojcu poszczególne narzędzia, potem siada pod piecem i bawi się laleczką z gałganków, Haraś wraca i kilka razy jeszcze wnosi różne rzeczy do izby).

TIMOFIEJ (pogwizdując piosenkę frontową): No, dobrze. Koła są, imadła są, pilniki mam, śrubokręt jest. Do roboty.

HARAŚ: A co tatko sobie robi?

TIMOFIEJ: Konia.

GRUNIA (parska śmiechem).

TIMOFIEJ: Nie wierzysz? No to motocykl.

HARAŚ: Ojej!

TIMOFIEJ: Zobaczycie!

(Drzwi otwierają się, wchodzi Nikita i kowal, Pola i Nastka).

KOWAL: Witaj, sąsiedzie! Przewszliśmy cię przywitać, bo już na dobre z wojny wróciłeś.

(Całuje się z Timofiejem, także Nikita, kobiety podają mu rękę).

TIMOFIEJ: Siadajcie no, proszę. (Goście siadają na ławach, skrzyni, kobiety mogą sięść na łóżku). Grunia, daj no tam z piecyka czajnik z herbatą i blinki, co matula wczoraj napiękla.

(Grunia krząta się przy kuchni).

KOWAL: Cóż ty tu, kumie, majstrujesz? Widzę, że w rękach zawdy masz krzepę. Straśniam rad, bo mi, widzisz, okrutnie potrzeba pomocnika.

TIMOFIEJ (z radością): A to dobrze! Narzędzia nawet mam, tylko dajcie robotę, bom ci bez niej całkiem zmarkotniał.

NIKITA: Wielką pomoc z ciebie będziemy mieć, Timoszka, bo teraz czas gorący, wiosna, kwiatki sadzą, i ludziom spać przeszkadza. A tu tyle nam już chłopaków do wojska wzięli! Dobrze żeś się uchował, twoje ręce złote, za dzień innych starczą. Zawsze był chłop robotny, nienasytek, za wszystko się brał i wszystkim zawdy poradził.

KOWAL: No, to i dobrze. To żeś nas z wielkiego kłopotu wyciągnął, chłopie.

TIMOFIEJ: Tylko sobie tu wózek majstruję, mam dwa koła, mam deski, zrobię taki wózek, żeby po całej wsi i po polach jeździć. Kierownicę przystawię i pogazujemy jak samochodem. Także się bał, że Duni i kolchozowi będą ciężarem, a tu, widzicie, robota już na mnie czeka! Takim rad, że nawet wypowiedzieć nie umiem!

(Timofiej uśmiecha się, wzruszony, goście uśmiechają się także serdecznie. Widać że są wzruszeni jego opanowaniem i odwagą wobec życia, bohaterstwem człowieka pracy. Timofiej cały czas coś majstruje przy pomocy synka, który mu podaje potrzebne rzeczy. Przez ten czas toczy się dalej rozmowa).

POLA: We wsi kurs traktorzystów otworzyli.

NASTKA: Ostarin nas uczy, ten co bez ręki z frontu przyjechał.

TIMOFIEJ: No, widzę że tu inwalidzi przodownictwo pracy trzymają!

NASTKA: A bo i pewnie.

POLA: A i nasza Nastka poszła na kursy.

NIKITA: Brygadier mówi że takiej zmyślnej do maszyny, jak ona to nie ma w całym powiecie. Każdą śrubkę rozumie, tylko patrzeć jak na przodownicę wyfrunie!

POLA: Tylko że za to przodowanie to ja zaplącę.

NASTKA: Wstydziałabyś się, Pola. (Bardzo jej przykro).

POLA: A bo i pewnie. Póki jej męża na wiosnę nie wzięli, to nic tylko oboje nosy w książ-

kach trzymali. Edukowani! Przez cztery klasy przeskoczyła z zadartą kiecką, to myśli, że już wszystkie rozumy zjadła. A teraz znowu na kursy. Ona w maszynie dłubie, a tu do stodoły — ja, bydło obrządzać — ja, do drobiu — ja. A cóż to, ja katorżnik jestem, czy co?

KOWAL: Wstydź się, Pola.

NASTKA: Toć przecie tylko z pięć miesięcy, kurs się skończy, potem orka się skończy i wszystko za czworo odrobie.

POLA: To ci dopiero pociecha! Pięć miesięcy się za nią męczyć!

TIMOFIEJ: Głupiasz ty, dziewucho, aż słuchać wstyd. Czy to człowiek żyje tylko dla siebie? W gromadzie przecie żyjemy, a na to mamy kołchozy żeby i gromadą pracować i uczć wie wszystkim się dzielić, nie jak ten sobek przeklęty co grosze pod siennik chowa a inny koło niego z głodu umiera. Traktorem, dziewucho, ile ziemi obrobisz? Świat! A rękami, choć się do siódmego potu umęczysz, dużo nie zrobisz. To może mamy drewnianym pługiem ziemię orać, jak ją dwieście lat temu orali? Na to ludzie mają maszyny, żeby za nich robiły. A że maszyna wielga, kosztuje grosza moc, to se jej przecie jeden z drugim nie kupi. A gromada kupi. I głupio gadasz, że na Nastkę wsiadłaś za tę naukę. Jeżeli ona robić umie, jeżeli się na maszynie poznała, to chwalić ją trzeba i zachęcić.

NIKITA: Sprawiedliwie gadasz.

KOWAL: Mądry chłop z ciebie, Timoszka.

TIMOFIEJ: Jakby każdy tylko o siebie dbał, to by Niemiec już chyba do bieguna doleciał. A jak go własnymi piersiami pchnąć, jak krwi nie pożałować, to się złamie jego moc piekielna. Teraz już go nasi gonią i pogonią aż do Berlina.

KOWAL: Zobaczycie, jeszcze z Nastusi cały kołchoz dumny będzie. Cichutka ona, odgryźć się nie potrafi, jak to cielątko maluśkie. Jak go stare rogami pchnie, to tylko zabeczy i pójdzie. Ale w robocie Nastka jest chwyt dziewczyna! A ty Pola, to tylko w gębie jesteś okrutnie mocna, ale do roboty to tam nie bardzo.

(Wszyscy się śmieją).

POLA (bardzo rozszłoszczona): A wy, kowalu, to mi przygadywać nie macie co. Każdy we wsi wie że takiego pijaka to ze świecą poszukać.

NIKITA: Nie gadaj po próżnicy, zły języku, jak nie wiesz. Co gadać po próżnicy. Patrzenie, jak to się kowal markotny zrobił! Było ale przeszło i teraz taki sam dobry jak każdy inny, a na robotę jak Timoszka! Po prostu smok!

TIMOFIEJ: Wstydź się, Pola. I skądże wam się to wzięło, kumie, żeście tak popijali? Przecie przedtem całkiem tego nie było.

KOWAL: Ano, widzisz, Timoszka, prawdę ci powiem. Syna mi Niemcy zabili na wojnie, Mikołaja.

NIKITA: Dobry był chłopak, łebski i do roboty pierwszy.

TIMOFIEJ: Każdy go przecie znał. Szkoda mi Koli. No i co dalej?

KOWAL: Ano, widzisz, bracie, tożem się rozpił z żalu po moim chłopcu.

NIKITA: Dopiero komsomolcy go wzięli na rozmowę.

POLA: Jak mu tam dobrze przysolili, to galopem wódki się odprzysiął i dotrzymuje.

KOWAL: A bo mi się okrutnie wstyd zrobiło. Stary jestem, łeb mam siwy, a tu smarkacze sąd zrobiły i Żura, ten przyjaciel mojego syna powiada tak: Starzyście kowalu, a głupi i wstyd nam za was. Jakby tu Kola teraz był z nami, to by was chyba przeklął. Kola jak wstąpił do komsomolu, przestał i pić i palić i nawet kłać.

NASTKA: I sprawiedliwie. Bo tak powinno być.

KOWAL: Ano właśnie, to ci mnie tak zawstydziło, że się cały czerwienił. Kobieta w chałupie swoje mi dołożyła i teraz całkiem inny ze mnie chłop się zrobił. A Żura mówi: jak chcecie takiego syna jak Kola wspominać, to go wspominajcie na trzeźwo, robotą, sercem dla ludzi, pomocą temu co słabszy i biedniejszy, a nie śmierdzącą gorzałą.

(Przedtem już Grunia podała kubki z herbatą i blinki, goście rozmawiali, pojedając zwolna i popijając. Ten co mówił, odstawił na chwilkę kubek z herbatą, inni, słuchali, pijąc).

NIKITA: No, czas już na nas. Dziękujemy za poczęstunek. Majstruj sobie ten samochód na zdrowie, majstruj. A jak będziesz gotów, to powiedz, robotę dostaniesz jak się patrzy. Cały kołchoz na twoje ręce czeka.

TIMOFIEJ: Dziękuję żeście przyszli, okrutnie się wami cieszył. Bądźcie zdrowi, kowalu. Mądrze wam ten Żura powiedział i ja bym lepiej nie potrafił. Bywajcie zdrowi. A ty sobie, Nastusia, nic z tego nie rób, że ci Pola dokucza. Jak będziesz przodownicą i order dostaniesz, to dziewczucha pęknie z zazdrości.

(Wszyscy się żegnają i rozchodzą ze śmiechem. Timoszka zostaje sam z dziećmi. Grunia się bawi, Haraś mu pomaga. Timoszka śpiewa sobie przy pracy. Po chwili wchodzi baba Opalicha).

OPALICHA: Jak się macie, Timoszka! Wróciłeś się serdeczny, na odpoczynek! (Rozgląda się, podnosi fartuch do oka, chce już chlipnąć, ale widzi, że Timofiej wcale nie jest zrozpaczony i opuszcza rękę z fartuchem). Cóż ty tutaj majstrujesz? Tylkoś wrócił, już cię poniosło? Zawsześ był taki wiercipięta, odkąd cię matula na świat wydała. Jeszcześ koszulę w zębach nosił, a już się wszędzie nos musiał wetknąć. Cóż tam, chłopcze, na świecie słyhać? Prędko ludzie przestaną się mordować i kaleczyć jeden drugiego?

TIMOFIEJ: Tego babciu, nie tylko my ale i Pan Bóg pewno nie wie.

OPALICHA: Siadę sobie, bo nogi stare, nosić nie chcą. A gdzież to Awdotja? W taki dzień

do roboty poszła czy co? Oj, dołp nasza nieszczęśliwa! A czemuż ty tak stukasz?

TIMOFIEJ: Nogi sobie robię.

OPALICHA: Cóż to, zbyt ci się trzymają? Jeszcze ci ochoty do śmiechu nie ucięli? Wojna to widać nie wszystkich uczy rozumu. Poniektóрым resztę oleju ze łba wylała.

TIMOFIEJ: Oj, babciu! Strasznie macie język jadowity! Prawdę gadam. Wózek sobie majstruję. Przecie nie będę przez całe życie na własnym siedzeniu po wsi szorował.

OPALICHA: Takbyś od razu mówił. A ty, że nogi sobie robisz! Jakbyś zachorzał, to przyjdź. Mam ci ja różne leki, to pomogę, czym Bóg pozwoli.

TIMOFIEJ: Jakbym zachorzał, to już ja sobie wołę do szpitala pojechać. Ja tam pamiętam, że jakeście staremu Jakubowi bańki na brzuchu postawili, to się chłop zaraz na tamten świat przejechał.

OPALICHA (wstaje okropnie obrażona i mówi, wygrażając laską): Ze cię też choróbsko nie zmogło za te prześmiewki. Tobie to i sam czort nie poradzi! Widać żeś się w czepku urodził! Od-rabali tyli kawał chłopca, a on się ino śmieje! Jakie to ludzie tera wytrzymałe, aż strach. Nie śmiej się ze starych, bo i sam będziesz stary.

TIMOFIEJ: Ja się tam ze starych nie śmieje, ino z głupich.

OPALICHA: Lepiej ja pójde, bo z takim to się i czort nie dogada. Wróżyłam twojej babie że wrócisz szczęśliwie, a ty sobie kpinki robisz ze starej!

TIMOFIEJ: No, bądźcie zdrowi, babciu, taki już jestem, że w byle co nie wierzę, ani w bańki

na brzuchu, ani w kabałę, ani w komarowe sadło na poty!

(Opalicha obrażona wychodzi, stukając kosturem. Timofiej znowu pośpiewuje przy pracy. Wraca Dunia. Otwiera drzwi, widzi na świeżo wymytej podłodze cały śmietnik z narzędzi i smaru i załamuje ręce).

DUNIA: Rany boskie, aleście mi tu śmietnik zrobili! Toć przecie podłogę rano uszorowałam, a tu jak w chlewie!

TIMOFIEJ (uśmiechnięty, przez czoło i policzek ma plamę ze smaru, promienieje radością): To już się na nas, matusiu, nie gniewajcie, my tu z Harasiem samochód budujemy!

DUNIA: Jaki samochód?

HARAS: Tatko majstruje! Z kół od roweru i z desek i z różności będzie wózek i pojedzie sobie tatko po całej wsi!

DUNIA: Mój ty serdeczny! A nie mówiłam, że masz złote ręce!

TIMOFIEJ: Goście tu przychodzili. Był kowal i Nikita, Pola i Nastka. Mówili, że tu na mnie czeka wielka robota. Ze strasznie byłem kolchozowi potrzebny.

DUNIA: I nam, Timoszka, i nam.

HARAS: I mnie!

GRUNIA: I mnie!

TIMOSZKA: Ci co mają nogi to pójda w pole, a ja będę robił w warsztacie z kowalem, po-naprawiamy to co inni w robocie popsują, dzieciaki wychowam i nikomu nie będę ciężarem. Oni mnie pomogą, ja im pomogę. Oj, Duńka, jaki jestem szczęśliwy!

DUNIA: I ty się w szpitalu wieszac chciałeś, głuptasie! (Żona i dzieci tulą się do niego).

Kurtyna spada.

OBJAŚNIENIA I WSKAZÓWKI

Wnętrze chaty: opisane na początku. Charakterystyka osób: Timofiej — musi budzić szczerą sympatię widza. Wysoki, barczysty, łagodny, miły. Złudzenie kalectwa należy wywołać w ten sposób, że po podniesieniu się z łóżka, porusza się na kulach, które obok łóżka stoją. Stopy obandażowane aż do połowy łydek, opiera się kolanami na poprzeczce kul. Ubrany w białą koszulę kosoworotkę i spodnie wojskowe.

Dunia — przystojna, 32 lata mniej więcej. Również bardzo dodatnia, musi budzić sympatię na widowni. Energiczna, ale dobra, bardzo macierzyńska, ubrana w długą do kostek samodziałową spódnicę i perkalową bluzkę, na szyi korale, boso.

Pola — przystojna, bardzo kłótniwa, uparta, ubrana podobnie jak Dunia. Boso (bo jest lato), albo w butach z cholewami na boso nogi.

Nastka — ubrana podobnie. Ładne warkocze, uczesane w koronę. Cicha, nieśmiała, łagodna.

Nikita — siwy zupełnie, siwa broda, spodnie granatowe, buty z cholewami, wąsy.

Kowal — ubrany podobnie, narzucony skórzany fartuch, bez brody, wąsy.

Opalicha — stara baba, chytra, pomarszczona, oparta o kosturek, chustka na głowie, kwiecista szeroka spódnica, korale na szyi, spod chustki widać siwe włosy. Boso albo w butach. Jest fałszywa, w gniewie podnosi rękę z kijem do góry. Mówi starczym, chrapliwym głosem.

Dzieci — chłopak w króciutkich spodniach, zawiniętych nad kolanem, boso oboje, w koszulince kolorowej, dziewczynka w sukieneczce perkalowej, warkoczyki.

А. П. ЧЕХОВ (1860 — 1904)

ДАЧНИКИ¹⁾

¹⁾ letnicy, ²⁾ tam i z powrotem,

³⁾ spacerowała, ⁴⁾ poślubionych,

⁵⁾ małżonków, ⁶⁾ trzymał, ⁷⁾ tu-

liło się, ⁸⁾ chmur, ⁹⁾ patrzala,

¹⁰⁾ księżyc, ¹¹⁾ prawdopodob-

nie, ¹²⁾ zazdrość to, ¹³⁾ przykro,

¹⁴⁾ nudne, ¹⁵⁾ niepotrzebne,

¹⁶⁾ nieruchomy, ¹⁷⁾ powietrze,

¹⁸⁾ nasycony, ¹⁹⁾ bzu, ²⁰⁾ dobrze,

²¹⁾ mówiła, ²²⁾ popatrz, ²³⁾ przy-

tulnie, ²⁴⁾ pieszczotliwie, przy-

milnie, ²⁵⁾ wygląda, ²⁶⁾ słupy,

²⁷⁾ krajobraz, ²⁸⁾ czyż, ²⁹⁾ nie

podoba się, ³⁰⁾ pociągu, ³¹⁾ de-

nerwujesz się, ³²⁾ dziś, ³³⁾ na

kolację, ³⁴⁾ chłodnik, ³⁵⁾ kurczę,

По дачной платформе взад²⁾ и вперед²⁾ прогулива-
лась³⁾ парочка недавно пожившихся⁴⁾ супругов⁵⁾. Он дер-
жал⁶⁾ её за талию, а она жалась⁷⁾ к нему, и оба были сча-
стливы. Из — за облачных⁸⁾ обрывков глядела⁹⁾ на них лу-
на¹⁰⁾ и хмурилась: вероятно¹¹⁾ ей было завидно¹²⁾ и до-
садно¹³⁾ на свое скучное¹⁴⁾, никому не нужное¹⁵⁾ детство.
Неподвижный¹⁶⁾ воздух¹⁷⁾ был густо насыщен¹⁸⁾ запахом
сирени¹⁹⁾ и черемухи.

— Как хорошо²⁰⁾, Саша, как хорошо! — говорила²¹⁾
жена. — Право, можно подумать, что всё это снится. Ты
посмотри²²⁾, как уютно²³⁾ и ласково²⁴⁾ глядит²⁵⁾ этот лесок!
Как милы эти солидные, молчаливые телеграфные столбы²⁶⁾.
Они, Саша, оживляют ландшафт²⁷⁾ и говорят, что там,
где — то, есть люди. . . цивилизация. . . А разве²⁸⁾ тебе
не нравится²⁹⁾, когда до твоего слуха ветер слабо доносит
шум идущего поезда³⁰⁾.

Да. . . Какие, однако, у тебя руки горячие! Это от-
того, что ты волнуешься³¹⁾, Варя. . . Что у нас сегодня³²⁾
к ужину³³⁾ готовили?

— Окрошку³⁴⁾ и цыпленка³⁵⁾. Цыпленка нам на двоих
довольно. Тебе из города³⁶⁾ привезли сардины и балык³⁷⁾.

— Поезд идет! — сказала Варя. — Как хорошо!

Вдали показались три огненные глаза³⁸⁾. На платфор-
му вышел начальник полустанка³⁹⁾. На рельсах⁴⁰⁾ там и сям
замелькали⁴¹⁾ сигнальные огни.

— Проводим⁴²⁾ поезд и пойдем домой, — сказал Саша
и зевнул.

А а — А а

F f — Ф ф

К к — К к

В в — В в

G g — Г г

Ł ł — Л л

С с — Ц ц

H h — Х х

M m — М м

D d — Д д

I i — И и

N n — Н н

E e — Э э

J j — Й й

O o — О о

— Хорошо нам с тобой живется, Варя, так хорошо, что даже⁴³⁾ невероятно! Темное страшилище бесшумно подползло к платформе и остановилось⁴⁴⁾. В полуосвещенных вагонных окнах замелькали сонные лица, шляпки⁴⁵⁾, плечи.

— Ах! Ах! послышалось из одного вагона. — Варя с мужем вышла нас встретить⁴⁶⁾.

Вот они! Варенька! Варечка! Ах! —

Из вагона выскочили две девочки и повисли на шее у Вари. За ними показалась: полная, но пожилая⁴⁷⁾ дама и высокий, тощий⁴⁸⁾ господин⁴⁹⁾ с седыми⁵⁰⁾ бачками, потом два гимназиста, навьюченные багажом, за гимназистами гувернантка, за гувернанткой бабушка.

— А вот⁵¹⁾ и мы, а вот и мы, дружок! — начал господин с бачками, пожимая⁵²⁾ Сашину руку.

Небось⁵³⁾, бранил⁵⁴⁾ дядю⁵⁵⁾ за то, что не едет! Коля, Костя, Нина, Фифа. . . дети!

Целуйте кузена Сашу! Все к тебе, всем выводком⁵⁶⁾, и денька на три, на четыре.

Надеюсь, не стесним⁵⁷⁾? Ты пожалуйста⁵⁸⁾, без церемонии.

Увидев дядю с семейством⁵⁹⁾, супруги пришли в ужас⁶⁰⁾.

Пока дядя говорил и целовался, в воображении Саши промелькнула картина⁶¹⁾: он и жена отдают гостям свои три комнаты, подушки, одеяла⁶²⁾; балык, сардины и окрошка съедаются в одну секунду, кузены рвут цветы, галдят⁶³⁾. . . И Саша уже с ненавистью смотрел на свою молодую жену и шептал ей:

— Это они к тебе приехали. . . чорт бы их побрал!

— Нет, к тебе! — отвечала она, бледная, тоже с ненавистью и со злобой⁶⁴⁾.

Это не мои, а твои родственники⁶⁵⁾.

И обернувшись⁶⁶⁾ к гостям, она сказала с приветливой⁶⁷⁾ улыбкой: — Милости просим! Из — за облака опять⁶⁸⁾ выплыла луна. Казалось, она улыбалась⁶⁹⁾; казалось, ей было приятно, что у нее нет родственников. А Саша отвернулся⁷⁰⁾ чтобы скрыть от гостей свое сердитое⁷¹⁾, отчаянное лицо⁷²⁾, и сказал придавая голосу радостное благодушное⁷³⁾ выражение.

— Милости просим! Милости просим, дорогие гости!

³⁶⁾ miasto, ³⁷⁾ jesiotr, ³⁸⁾ oczy,

³⁹⁾ stacyjki przystanku kolejowego, ⁴⁰⁾ szynach, ⁴¹⁾ zamigotały,

⁴²⁾ odprowadzimy,

⁴³⁾ nawet, ⁴⁴⁾ zatrzymało się,

⁴⁵⁾ kapelusze, ⁴⁶⁾ spotkać,

⁴⁷⁾ starsza, ⁴⁸⁾ suchy, szczupły,

⁴⁹⁾ pan, ⁵⁰⁾ siwymi, ⁵¹⁾ oto,

⁵²⁾ ściskając, ⁵³⁾ chyba, oczywiście,

⁵⁴⁾ wymyślałeś, ⁵⁵⁾ wujka

albo stryja, ⁵⁶⁾ ptaki z jednego

wylęgu, tutaj całą rodziną, ⁵⁷⁾ nie

sprawimy kłopotu, ⁵⁸⁾ proszę,

⁵⁹⁾ z rodziną, ⁶⁰⁾ przerażili się,

⁶¹⁾ obraz, ⁶²⁾ kołdry, ⁶³⁾ wrzeszczą,

⁶⁴⁾ złością, ⁶⁵⁾ krewni,

⁶⁶⁾ obróciwszy się, ⁶⁷⁾ uprzejmą,

⁶⁸⁾ znów, ⁶⁹⁾ uśmiechała się,

⁷⁰⁾ odwrócić się, ⁷¹⁾ rozgniewane,

⁷²⁾ zrozpaczonej, ⁷³⁾ dobro-

duszne.

P p — П п

R r — Р р

S s — С с

T t — Т т

U u — У у

W w — В в

Y y — Ы ы

Z z — З з

Ż ż — Ж ж

Cz — Ч ч

znak
zmiękczenia — **Ь**

Sz — Ш ш

Szcz — Щ щ

Je — Е е

Ju — Ю ю

Ja — Я я

Słowa: A. Sarkowa
Słowa polskie: L. Pasternak

Pieśń kożacka

Muz. Dan i Dm. Pokrass

TO NIE OB-ŁOK NAD KUR-HA-NEM BIE-LA, LŚNI, TO SIĘ
PY-EU TU-MAN U-NIOŚŁ AŻ DO CHMUR. TO NIE BU-RZA NAD TER-KU BRZE-GIEM
GRZMI, TO KO-ZA-KA ZWA, DO BO-JU DZWIĘ-KI SURM, TO NIE
BU-RZA NAD TER-RE-KU BRZE-GIEM GRZMI, TO KO-
ZA-KA ZWA, DO BO-JU DZWIĘ-KI SURM

Słowa — str. 40.

Pieśń o Krocusie

Muzyka: M. Blanter

Słowa: M. Gotodnyj

RYTMICZNIE DOŚĆ PRĘDKO

The musical score is written in G major and 2/4 time. It features a vocal line and a piano accompaniment. The piano part consists of a steady eighth-note accompaniment in the left hand and chords in the right hand. The vocal line is in a soprano range. The lyrics are in Polish. The score is divided into six systems, each with a vocal line and a piano accompaniment. The lyrics are:
1. *cia-gwał od-dział*
2. *z da-le-ka, szedł brze-ga-mi rzek, Pod czer-wo-ny*
3. *sztan-da-rem sam do-wód-ca szedł Gło-wa je-go*
4. *w bar-da-żach, Je-dzie rze-ką upław, Krwa-we śla-dy*
5. *zo-sta-ły wśród wil-go-trych traw. Hej!*
6. *wśród wil-go-trych traw drog. Hej!*

Słowa — str. 40.

PIEŚŃ KOZACKA

Słowa: A. Surkow.

Muzyka: Dan i Dm. Pokrass

To nie obłok nad kurhanem białą łśni,
To się pyłu tuman uniósł aż do chmur,
To nie burza nad Tereku brzegiem grzmi,
To kozaka zwa do boju dźwięki surm.

Nóżką grzebie, niecierpliwi się mój koń,
Ty kozaczko, odprowadzisz mnie za próg,
Ja, nad Terek jadę i nad cichy Don,
Gdzie na ziemię naszą groźny napadł wróg.

Hen, drogami nad Terekiem chłopcy mkną,
Aż do kopyt końskich matka-ziemia drży,
Mkną kozacy bić się za ojczyznę swą,
Bronić ziemi do ostatniej kropli krwi.

Patrz, jak z głowy im baszłyki zrywa wicher,
Patrz, jak każdy z nich w zawody z wichrem
mknie!

Spójrz, marszałku, na kozaków młodych swych,
I widokiem ich uraduj serce swe!

Przełożył: Leon Pasternak.

PIEŚŃ O SZCZORSIE

Ciągnął oddział z daleka, szedł brzegami rzek,
Pod czerwonym sztandarem sam dowódca szedł.
Głowa jego w bandażach, jedzie rzeką wplaw,
Krwawe ślady zostały wśród wilgotnych traw.
Hej! Wśród wilgotnych traw!

„Skądże chłopcy jesteście, kto przewodzi wam?
Kto pod tym sztandarem, choć ranny, naprzód
[gna]?”

„Hej, myśmy partyzanci, chłopski na nas strój,
Do walki o świat nowy Szczors prowadzi w bój!
Hej! Szczors prowadzi w bój!”

„Żył on w głodzie i w chłodzie, z naszych wy-
[szedł] strzech,

I walcząc, niedaremnie swą przelewał krew.
Myśmy wroga pobili, przegonili precz,
Bo wolność ponad wszystko, wolność święta rzecz!
Hej! Wolność święta rzecz!”

Cisza spływa na brzegi, milknie jeźdźców śpiew,
Już słońeczko zachodzi za wierzchołki drzew.
Kłusem pędzi konnica, słychać kopyt stuk,
Sztandar Szczorsa czerwony znika w pyle dróg.
Hej! Znika w pyle dróg!

Przełożył: Leon Pasternak

ПЕСНЯ О ЩОРСЕ

Слова: М. Голодного.

Музыка: М. Блантера.

Шел отряд по берегу, шел издавека,
Шел под красным знаменем командир полка,
Голова обвязана, кровь на рукаве,
След кровавый стелется по сырой траве,
Эх! По сырой траве.

„Хлопцы чьи вы будете, кто вас в бой ведет?
Кто под красным знаменем раненый идет”?
„Мы—сыны батрацкие, мы—за новый мир,
Щорс идет под знаменем красный командир.
Эх! Красный командир.

В голоде и в холоде жизнь его прошла.
Но недаром пролита кровь его была.
За кордон отбросили лютого врага,
Закалились смолоду, честь нам дорога.
Эх! Честь нам дорога”.

Тишина у берега, смолкли голоса,
Солнце книзу клонится, падает роса.
Лико мчится конница, слышен стук копыт,
Знамя Щорса красное на ветру шумит.
Эх! На ветру шумит.

TREŚĆ NUMERU:

	str.
22 lipca	1
K. Gruszczyński — Powitanie Chelma	4
R. Sarczewicz — Opowiadanie tokarza Pietrowa	4
A. Twardowski — W niewoli	6
P. Nilin — Wielki świat	9
Objaśnienia i wskazówki	17
W. Lubimowa — Śnieżek	18
Objaśnienia i wskazówki	30
Malcow — Złote ręce Timoszki	31
Objaśnienia i wskazówki	35
Uczymy się rosyjskiego	36
Pieśń kozacka	38
Pieśń o Szczorsie	39

Nr kate- logowy	Nazwa wydawnictwa	Prenumerata			Nr kate- logowy	Nazwa wydawnictwa	Prenumerata		
		Rocz- na	Pół- roczna	Kwar- talna			Rocz- na	Pół- roczna	Kwar- talna
		z ł o t e					z ł o t e		
77	Przykładowa matematyka i me- chanika, 6 n-rów	595	300	—	122	Winodielie i winogradarstwo, 12 n-rów	556	285	145
78	Priroda, 12 n-rów	680	340	170	123	Dokłady Wsiesojuznoj Akademii sielsko-chozajstwiennych nauk imieni W. I. Lenina, 12 n-rów	453	230	115
80	Sowietskaja etnografia, 4 n-ry	849	425	—	124	Kołchoznoje proizwodstwo, 12 n-rów	170	85	45
81	Uspiechi sowremiennoj biologii, 6 n-rów	566	285	—	125	Koniewodstwo, 6 n-rów	170	85	—
82	Uspiechi chimii, 6 n-rów	453	230	—	126	Lesnoje chozajstwo, 12 n-rów	906	455	230
	4. Technika. Przemysł. Budownictwo.				127	Lesnaja promyslnosc, 12 n-rów	566	285	145
83	Awtogiennoje dieło, 12 n-rów	906	455	230	128	Maszyno-traktornaja stancija, 12 n-rów	113	60	30
84	Architektura i stroitielstwo, 12 n-rów	906	455	230	129	Pczelowodstwo, 12 n-rów	340	170	85
85	Bumażnaja promyslnosc, 6 n-rów	283	145	—	130	Rybnoje chozajstwo, 12 n-rów	566	285	145
87	Wiestnik maszynostrojenia, 12 n-rów	906	455	230	131	Sad i ogorod, 12 n-rów	227	115	60
88	Wiestnik eliektropromyslnosti, 12 n-rów	509	255	130	132	Sielekcyja i siemienowodstwo, 12 n-rów	566	285	145
89	Gidrotechniczskoje stroitielstwo, 12 n-rów	453	230	115	133	Sielchoz maszina, 12 n-rów	906	435	230
90	Zawodskaja laboratoria, 12 n-rów	1.132	570	285	134	Sowietskaja agronomia, 12 n-rów	566	285	145
91	Kotłoturbostrojenie, 6 n-rów	680	340	—	136	Socjalistyczskoje sielskoje cho- zajstwo, 12 n-rów	233	145	75
92	Liepkaja promyslnosc, 12 n-rów	792	400	200		7. Medycyna. Biologia. Fizjologia.			
93	Miedicynskaja promyslnosc, 6 n-rów	170	85	—	137	Akuszerstwo i giniekologia, 6 n-rów	170	85	—
94	Miechanizacja stroitielstwa, 12 n-rów	566	285	145	138	Archiw patologiczeskoj anatomii, 6 n-rów.	566	285	—
95	Miechanizacja trudojemskich i tiazelych rabot, 12 n-rów	793	400	200	140	Wiestnik wienierologii i dierma- tologii, 6 n-rów	198	100	—
96	Motoczna promyslnosc, 12 n-rów	453	230	115	141	Wiestnik otorinolaringologii, 6 n-rów	227	115	—
97	Miasnaja industria SSSR, 6 n-rów	397	200	—	142	Wiestnik oftalmologii, 6 n-rów	340	170	—
98	Ognieupory, 12 n-rów	680	340	170	143	Wiestnik chirurgii imieni Grieko- wa, 6 n-rów	453	230	—
99	Poligraficzskoje proizwodstwo, 12 n-rów	566	285	145	144	Woprosy niejrochirurgii, 6 n-rów	227	115	—
100	Proizwodstwiennoje obuczenie, 12 n-rów	566	285	145	145	Woprosy piederii i ochrany ma- tierinstwa i dietstwa, 6 n-rów	340	170	—
101	Promyslnnaja energetika, 12 n-rów	453	230	115	147	Gigiena i sanitaria, 12 n-rów	227	115	60
102	Radio, 12 n-rów	566	285	145	148	Zurnal obszczej biologii, 6 n-rów	425	215	—
103	Radiotechnika, 6 n-rów	566	285	—	149	Kliniczeskaja miedicina, 12 n-rów	340	170	85
104	Sacharnaja promyslnosc, 12 n-rów	566	285	145	150	Mikrobiologia, 6 n-rów	509	255	—
105	Sbornik rukowodiaszczych matie- rialów i konsultacji postroitel- stwu, 10 n-rów	330	165	85	151	Niewropatologia i psichiatria, 6 n-rów	397	200	—
107	Stanki i instrument, 12 n-rów	906	445	230	152	Piederia, 6 n-rów	198	100	—
108	Stiekło i kleramika, 12 n-rów	453	230	115	153	Problemy tubierkuloza, 6 n-rów	198	100	—
109	Tiekstilnaja promyslnosc, 12 n-rów	792	400	200	154	Sowietskaja miedicina, 12 n-rów	170	85	45
110	Ugol, 12 n-rów	680	340	170	155	Stomatologia, 4 n-ry	170	85	—
111	Cholodilnaja tiechnika, 4 n-ry	302	155	—	156	Sowietskoje zdrowoochranienie, 6 n-rów	170	85	—
112	Elektriczeskije stancji, 12 n-rów	906	455	230	157	Fieldszer i akuszerka, 12 n-rów	198	100	50
113	Elektriczestwo, 12 n-rów	906	455	230	158	Fizjologiczeskij zurnal imieni Sieczenowa, 6 n-rów	680	340	—
114	Energieticzeskij biulletien Mini- sterstwa nieftianoj promyslnos- nosti, 12 n-rów	340	170	85	159	Chirurgia, 12 n-rów	453	230	115
	5. Transport. Łączność.					8. Beletrystyka. Krytyka. Sztuka. Dzienniki ilustrowane. Biologia. Sport.			
115	Awtomobil, 12 n-rów	226	115	60	160	Bibliotekar, 12 n-rów	227	115	60
116	Awtomobilnaja promyslnosc, 12 n-rów	906	455	230	162	Zwieszda, 12 n-rów	566	285	145
119	Riecznoj transport, 6 n-rów	396	200	—	163	Znamia, 12 n-rów	566	285	145
	6. Rolnictwo i lesna gospodarka. Gospodarka rybna. Weterynaria.				164	Ikusstwo kino, 6 n-rów	566	285	—
120	Agrobiologia, 6 n-rów	509	255	—	165	Krokodil, 36 n-rów	509	255	130
121	Wietierinaria, 12 n-rów	198	100	50	166	Nowyj mir, 12 n-rów	703	400	200
					167	Ogoniek, 52 n-ry	1.415	710	355
					168	Oktiabr, 12 n-rów	566	285	145
					169	Sowietskaja kniga, 12 n-rów	849	425	215
					170	Sowietskaja muzyka, 12 n-rów	1.132	570	285

Dalszy ciąg na str. 4 okładki

Nr katalogowy	Nazwa wydawnictwa	Prenumerata			Nr katalogowy	Nazwa wydawnictwa	Prenumerata		
		Roczna	Półroczna	Kwartalna			Roczna	Półroczna	Kwartalna
		z ł o t e					z ł o t e		
171	Tieoria i praktika fizkultury, 12 n-rów	453	230	115		CZASOPISMA W RÓŻNYCH JĘZYKACH			
	SSSR na strojkie (na russk., angl. i franc. jazykach), 12 n-rów	470	235	120		Angielski			
172	Tieatr, 12 n-rów	1.132	570	285	200	Soviet Literature, 12 n-rów	792	400	200
173	Fizkultura i sport, 12 n-rów	283	145	75	201	New Times, 52 n-ry	906	455	230
174	Szachmaty w SSSR, 12 n-rów	453	230	115	202	Soviet Woman, 6 n-rów	566	285	—
	Druzba narodow, chudoż-literat. żurnal, 6 n-rów	453	230	—		Francuski			
	9. Czasopisma dla dzieci i młodzieży.				203	La Litterature Sovietique, 12 n-rów	792	400	200
175	Wożatyj, 12 n-rów	147	75	40	204	Nouveaux Temp	906	455	230
176	Wokrug swieta, 12 n-rów	680	340	170	205	La Femme Sovietique, 6 n-rów	566	285	—
177	Družnyjeriebiata, 12 n-rów	113	60	30		Niemiecki			
178	Zatiejnik, 12 n-rów	340	170	85	206	Literatur Sowiet, 12 n-rów	792	400	200
179	Znanie — siła, 12 n-rów	453	230	115	207	Neue Zeit, 52 n-ry	906	455	230
180	Murzilka, 12 n-rów	113	60	30	208	Die Sowietfrau, 6 n-rów	566	285	—
181	Pionier, 12 n-rów	283	145	75		Hiszpański			
182	Smiena, 24 n-ry	453	230	115	209	La Literatura Sovietica, 12 n-rów	792	400	200
183	Tiechnika mołodzieży, 12 n-rów	227	115	60		Ormiański			
	10. Oświata ludowa. Czasopisma szkolno-pedagogiczne.				210	Soviet Armenia, 12 n-rów	1.359	680	340
184	Wiestnik wyższej szkoły, 12 n-rów	680	340	170		Dodatkowe			
185	Wiestnik driewniej istorii, 4 n-ry	1.132	570	285		GAZETY			
186	Gieografia w szkole, 6 n-rów	255	130	—	211	Morskoj flot, 104 n-ry	396	200	100
187	Doszkolnoje wospitanie, 12 n-rów	227	115	60		CZASOPISMA			
188	Jestiestwoznanie w szkole, 6	255	130	—	212	Awtomatika i tielemiechanika, 6 n-rów	425	215	—
189	Literatura w szkole, 6 n-rów	255	130	—	213	Isskustwo, 6 n-rów	1.132	570	—
190	Matematika w szkole, 6 n-rów	255	130	—	214	Karakulewodstwo i zwierodostwo, 6 n-rów	340	170	—
191	Narodnoje obrazowanie 12 n-rów	453	230	115	215	Kołodindnyj żurnal, 6 n-rów	425	215	—
192	Nauka i żyżń, 12 n-rów	340	170	85	216	Miedicynkaja siestra, 12 n-rów	85	45	25
193	Naczalnaja szkoła, 12 n-rów	170	85	45	218	Tierapiewticeskij archiw, 6 n-rów	340	170	—
194	Priepodawanie istorii w szkole, 6 n-rów	283	145	—	220	Uspiechi matematycznych nauk, 6 n-rów	849	425	—
195	Russkij jazyk w szkole, 6 n-rów	255	130	—	221	Uspiechi fizycznych nauk, 12 n-rów	1.132	570	285
196	Siemia i szkoła, 12 n-rów	283	145	75					
197	Sowietskaja pedagogika (s priłożeniem), 12 n-rów	1.019	510	255					
198	Sowietskij szkolnik (dla ślepych dietiej, pieczatajetsia toczcznym szrifom), 12 n-rów	113	60	30					
199	Fizika w szkole, 6 n-rów	255	130	—					
	Inostrannyje jazyki w szkole, 6 n-rów	340	170	—					

Prenumeratę przyjmują:

SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

„WSPÓŁPRACA”

WARSZAWA, RATUSZOWA 21
Telefon 2196

KSIĘGARNIE SPÓŁDZIELNI

Warszawa, ul. Królewska 2

„ ul. Marszałkowska 92

„ ul. Targowa 65

Katowice, ul. Warszawska 21

Poznań, ul. Czerwonej Armii 3

Wrocław, Rynek 5

Bydgoszcz, Al. 1 Maja 30

Gdańsk-Wrzeszcz, Barlickiego 1

Gdynia, ul. Świętojańska 3

Lublin, ul. Krak. Przedmieście 38

Wałbrzych, Plac Wolności 3a

oraz Wojewódzkie Oddziały Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej

WARUNKI PRENUMERATY: 1) Prenumeratę na pisma codzienne i czasopisma przyjmujemy po uprzednim wpłaceniu należności za okres nie krótszy niż 3 miesiące. 2) Prenumeratę otrzymaną przed 15-tym każdego m-ca zalicza się na czas od 1-go następnego m-ca. Natomiast przyjęta po 15-tym — zalicza się od 16-go następnego miesiąca. 3) Zamawiający otrzymują pisma bezpośrednio z ZSRR.